



*Matka z Dzieckiem  
[plemień Hidatsa]  
W dniu 4 lipca  
(święto narodowe USA)  
rodzice odświętnie  
ubierają  
siebie i swe dzieci  
czasami zmyslnie,  
a czasem  
w roztargnieniu.  
Fot.  
Gilbert Wilson, 1907*





Za nami rok 1990, dla którego określenie "historyczny" z pewnością nie będzie przesadne. Rok, w którym wydarzyło się wiele rzeczy ważnych dla nas, polskich przyjaciół Indian, istotnych dla naszego kraju i kontynentu, dla wszystkich wreszcie – nie tylko tubylczych – mieszkańców obu Ameryk.

W Kraju Indian był to rok, w którym szczególnie silnie odczuwano wzajemny związek i przenikanie się przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Dla tubylczych Amerykanów był to czas szczególnej pamięci o ofiarach i bohaterach, których dramatyczne losy symbolizuje nazwa Wounded Knee. To ciche nadziei miasteczko w rezerwacie Pine Ridge w Dakocie Południowej dwukrotnie w minionym stuleciu stało się głośne w skutek wydarzeń, których znaczenie wciąż jeszcze nie poddaje się pełnej i jednoznacznej ocenie. Od ich skrótownego – z konieczności – przypomnienia rozpoczynamy ten kolejny – a zarazem NOWY – Przegląd Przyjaciół Indian.

W ostatnich miesiącach wiele tubylczych społeczności w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie stanęło wobec wyzwań i zagrożeń, w obliczu których musiały one ponownie określić swój stosunek do tradycji i, własne wizje przyszłości. Istotną rolę w sporach wokół tradycyjnych ziem i praw traktatowych, rozwoju przemysłu ciężkiego i "rozrywkowego" w rezerwach odegrały balansujące z trudem między wiarygodnością współplemionców i uznaniem władz rady plemienne o rozmaitych rodowodach oraz – szczególnie na ziemiach Mohawków – tzw. Stowarzyszenia Wojowników. Te ostatnie okazały się równie kontrowersyjne i różnicowane, jak dawne stowarzyszenia wojenno-policyjne, których rola różniła się znacznie w poszczególnych plemionach (od dominującej np. na Równinach do nieznanego np. w Lidze Irokezów). To właśnie współczesnym "wojownikom", oraz ich oponentom po przeciwnych stronach barykad, rok 1990 zawdzięcza miano najbardziej "indiańskiego" i "gorącego" w Ameryce Północnej od głośnego roku 1973. Doniesienia prasy światowej o "rewolucji Mohawków" streszczamy na kolejnych stronach TAWACINu.

Wspominając miniony rok należy również odnotować inaugurację tak międzynarodowych, jak i lokalnych przygotowań do bardziej i mniej oficjalnych obchodów 500-lecia procesu, którego nazwa oddać powinna tak wiele faktów, ocen i emocji, że nie sposób usatysfakcjonować nią miliony zainteresowanych. Jako rodzaj kompromisu między "odkryciem" i "kolonizacją" Ameryki proponujemy więc – jak większość organizatorów – określenie: Spotkanie Dwojga Światów. Przed przypadającą na październik 1992 r. kulminacją obchodów nie raz zapewne mówić i pisać będziemy o Spotkaniu i jego konsekwencjach, a póki co – sygnalizujemy jedynie nawiązanie przez PSPI kontaktu z powstałym przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych specjalnym Komitetem obchodów tej rocznicy i – oczekujemy na Wasze propozycje.

Koncząc tematykę "rocznicową" i zmiierzając "bliżej Europy", krótko tylko – z braku miejsca – przypomnimy, że przed 10 laty, w listopadzie 1980 r., zebrał się w Rotterdamie IV Trybunał Russella – szczególne forum uznanych w świecie autorytetów prawnych i moralnych. Pragnąc umożliwić Indianom szersze dotarcie ze swoimi problemami do międzynarodowej opinii publicznej, Trybunał Russella rozpatrzył wówczas skargi tubylczych mieszkańców obu Ameryk, ujawniając i potępiając publicznie ludobójcze i dyskryminacyjne praktyki wielu rządów i społeczeństw Zachodniej Półkuli wobec jej pierwotnych mieszkańców. Wiele z jego opinii i zaleceń pozostaje nadal aktualnych.

W cieniu wielkiej polityki i tworzącej się na naszych oczach Historii – Europa przeżywała w 1990 r. "inwazję" Indian na skalę nienotowaną chyba dotąd w dziejach Starego Kontynentu. Do odwiedzających regularnie Europę (dotychczas jedynie – Zachodnią, ale...) indyjskich artystów, wodzów i szamanów dołączyli w lipcu tubylczy delegaci, zaproszeni na VI Europejskie Spotkanie Grup Poparcia Indian Ameryki Pn. (pisze o nim Wiesław Kołeczek, nasz delegat na monachijski Euro-meeting). I to chyba właśnie na Konferencji w Monachium stało się oczywiste, że nic już nie jest w stanie powstrzymać uczestników kolejnego Świętego Biegu na Rzecz Ziemi i Życia od wyruszenia 6 sierpnia spod Pagody Pokoju w Londynie i – zapewne – od dotarcia przed 12 października do Moskwy.

O indyjsko-japońsko-europejskim "maratonie pokoju" mówiło się u nas co najmniej od początku roku. Wiosną zabraliśmy się do przygotowywania jego polskiego odcinka, przekonując powoli samych siebie i innych o możliwości i celowości zorganizowania tego ogromnego – nie tylko na nasze skromne warunki – przedsięwzięcia. Długo oczekiwana rejestracja PSPI, letnie spotkania z ludźmi z Ruchu (nie jesteśmy w stanie choćby wymienić ich wszystkich), obietnice pomocy od licznych osób, organizacji i instytucji w kraju, a także niespodziewane z reguły kontakty z organizatorami Świętego Biegu z USA, Francji, Niemiec (Angela – thanks!), Finlandii i ZSRR stopniowo rozwiewały nasze liczne wątpliwości.

Witając biegaczy 27 sierpnia w Zgorzelcu byliśmy pełni obaw, ale i – oczekiwali. 4 września w Ogródnikach z zalem rozstawiliśmy się z ludźmi, o których zrozumienie i przyjaźń z takim trudem zabiegaliśmy przez tych kilka gorących dni. Goszcząc ich przez jedną noc w drodze powrotnej w Łodzi czuliśmy już, że – jak napisał po powrocie z Moskwy nasz Biegacz Roku Jacek Piwowski – "dla wielu z nas ten Bieg nigdy się nie skończy". I rzeczywiście – wydaje się, że czas nie potrafi zatrzeć wspomnień, rozbudza w nas nowe nadzieje, a my – wzmacnieni doświadczeniami minionego Roku – uczymy się mądrości ludzi pewnych raz obranej drogi i wiary w rzeczy pozornie tylko niemożliwe.

Podobnej mądrości i wiary – oraz budującej lektury – życzymy wszystkim naszym Czytelnikom.

Przegląd Przyjaciół Indian TAWACIN – wydanie Grudzień 1990 – przygotowali: Wiesław Karnabal (Niedzwiedź), Marek Maciołek, Marek Nowocien (Cień) i Wiesław Kołeczek. Adresy Redakcji: W. K., Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie (kolportaż); M. N., Os. XX-lecia 48/14, 57-200 Zabkowice Sl. (materiały).

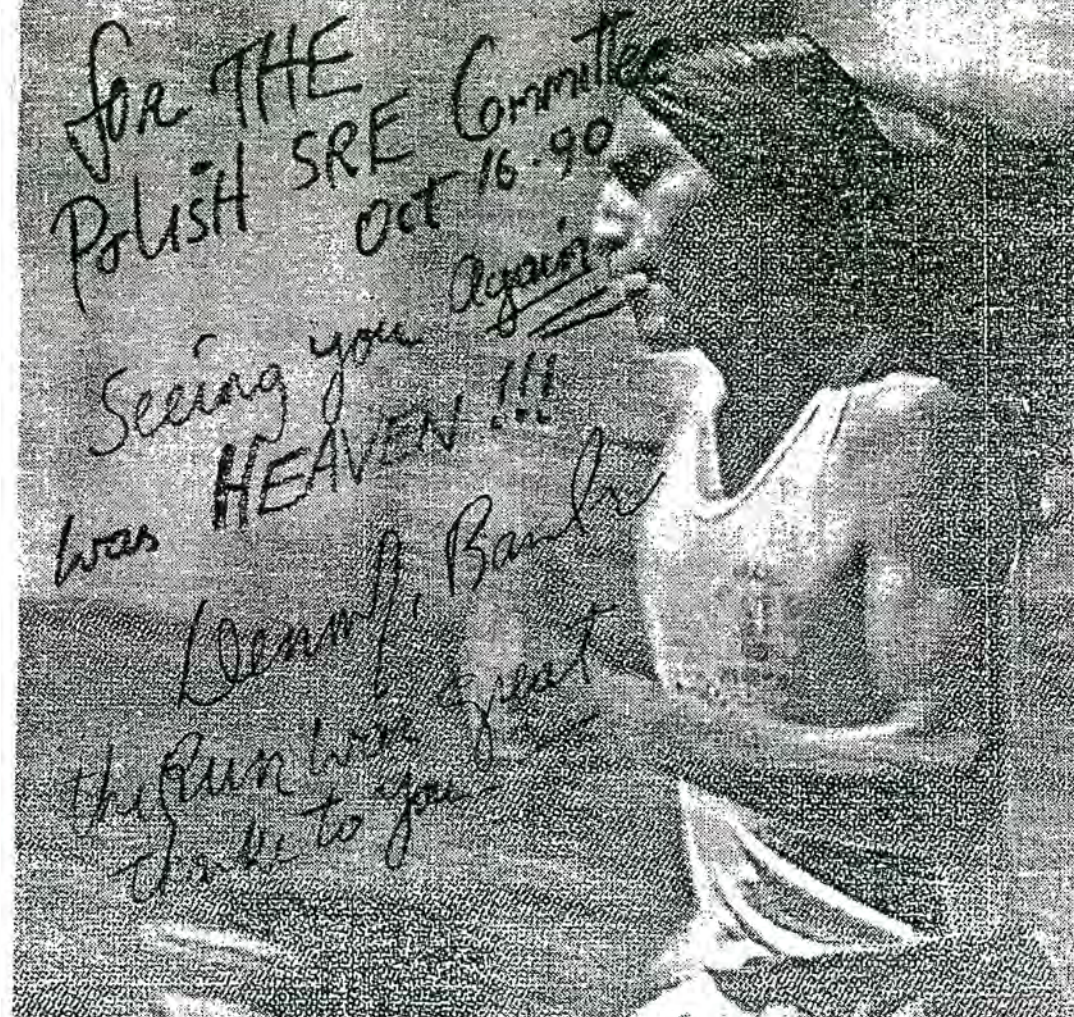
# SACRED RUN

ŚWIĘTY BIEG na RZECZ ZIEMI I ŻYCIA – EUROPA 1990

6 sierpnia – 12 października

LONDYN – PARYŻ – BERLIN – WARSZAWA – MOSKWA

UDZIAŁ BIODRA INDIANIE AMERYKI POŁNOOCNEJ I EUROPEJCZYCY



W sierpniu i wrześniu odbędzie się Święty Bieg – Kanada, 1991. Informacji udziela i zgłoszenia chętnych (wyjazd na własny koszt) przyjmują: Marek Nowocien, Os. XX-lecia 48/14, 57-200 Zabkowice Sl.; oraz Roman Bala, Iwanowice Duże 95, 42-152 Opatów. (do końca marca!) Latem planowany jest też Bieg Pokoju z Leningradu do Tybetu. Kontakty: Wiesław Kołeczek, ul. Norwida 5 B / 9, 83-400 Kościerzyna; oraz Iwona Goryńska, ul. Okrzeja 5 m. 2, 53-006 Wrocław. CZEKAMY! Już wkrótce w "BIBLIOTECE TAWACINu" broszura o Świętym Biegu w Polsce!



# 1890 NO MORE WOUNDED KNEE 1990



Lakota Treaty Council  
P. O. Box 54, Pine Ridge  
South Dakota 57770, USA

Gesellschaft für bedrohte Völker/Österreich  
Schwarzspanierstraße 13/Rechte Stiege, 1. Stock  
A-1090 WIEN/ÖSTERREICH

Artworks by Cecil Apple



*Przed stu laty na preriach Ameryki Północnej rozegrały się wydarzenia, które położyły kres niezależności amerykańskich Indian i - kończąc okres podboju i kolonizacji kontynentu - na stałe zapisały się w krętej historii rozwoju cywilizacji.*

W 1890 r. ostatnie zamieszkałe przez tubylczych Amerykanów "ziemie niczyje" znalazły się pod kontrolą USA. Dla rodowitych mieszkańców tych terenów był to rok tragicznego finału wieloletniej walki o przetrwanie ich tradycyjnych społeczności plemiennych. Pobite militarnie, wyniszczone ekonomicznie i prześladowane kulturowo plemiona Indian prerii szukały pocieszenia w religii tańca ducha, która zrodziła się rok wcześniej z wizji Wowoki, proroka Indian Paiute z Newady.

Rozprzestrzeniające się szybko wśród plemion Zachodu proroctwo zapowiadało rychłe unicestwienie białych ludzi, przywrócenie do życia zmarłych Indian i wytopienia bizonów. Główną rolę w przygotowaniach do odrodzenia się dawnej indiańskiej świętości odgrywał miał ekstazyjny taniec, określany przez białych jako "mesjaszowe szaleństwo".

Doktryna i obrzędy tańca ducha, który w kilkanaście miesięcy ogarnął blisko połowę zmuszonych do osiedlenia się w rezerwach Indian, różniły się nieco w poszczególnych plemionach, obejmując z reguły także elementy dawnych, lokalnych wierzeń. Wszędzie jednak proroctwo Wowoki podkreślało znaczenie obrzędowego tańca i konieczność zachowania pokoju, zaś ukaranie złych białych ludzi i oczyszczenie Matki Ziemi pozostawiało działaniu niebios.

Tylko dumni i bitni Siuksowie, początkowo z rezerwą traktujący obietnice interwencji sił nadprzyrodzonych, przyjęli nową religię w sposób, który sąsiadujący z nimi biali odebrali jako początek przygotowań do konfrontacji. Dwa poprzednie lata przyniosły ludowi Siuksów niemal jednocześnie: zarazę, która zdziesiątkowała stada bydła; suszę, która zniszczyła pierwsze zasiewy nielicznych jeszcze dakockich rolników; utratę większości ziem tzw. Wielkiego Rezerwatu Siuksów oraz epidemie chorób przywleczonych przez białych osadników i żołnierzy. Kolejne suche lato 1890 r. spotęgowało jeszcze głód i niezadowolenie Siuksów. Posłańcy Mesjasza docierali tymczasem do najdalszych zakątków rezerwatów i mimo zakazów ze strony zaniepokojonych agentów do spraw Indian coraz to nowe grupy tubylcze przyłączały się do ruchu tańca ducha, zakładając obrzędowe koszule i kryły się w górskich pustkowiach, by tańcem witać spodziewane przyjsie Mesjasza.

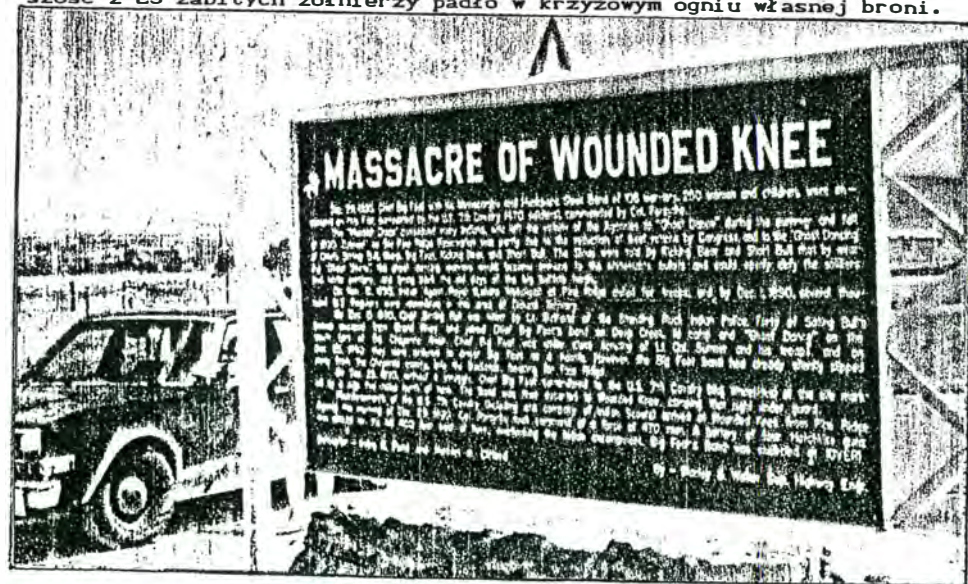
Podejrżane zachowanie Indian wzbudzało niepokój białych osadników, zamieszkujących nie tak dawno przeciw odebrane Siuksom ziemi. Wielu opuszczało swoje domy, rozgłaszając plotki o przygotowaniach do kolejnego indiańskiego powstania. Nowy agent rządowy, który jesienią 1890 r. przybył do rezerwatu Pine Ridge i niemal natychmiast zaczął domagać się interwencji wojska, szybko uzyskał od Siuksów Ogłala przydomek "Młody-Człowiek-Bojący-Się-Swoich-Indian". Jego najbardziej alarmujący telegram, wysłany 15 listopada, brzmiał: "Potrzebujemy obrony i potrzebujemy jej już. Trzeba aresztować przywódców i zamknąć ich w którychś z wojskowych posterunków aż sprawa ucichnie, i trzeba to zrobić natychmiast". Nieliczne głosy rozsądku tych, którzy radzili przeczekać falę rozbudzonego nagle entuzjazmu tancerzy, nie znalazły zrozumienia władz. 20 listopada do rezerwatów Dakoty wkroczyło wojsko.

Wielu spokojnych dotąd Siuksów uciekło w góry w obawie przed represjami i dołączyło do obozujących tam uczestników tańca ducha. W rezerwacie Standing Rock jedna z prób izolowania "buntowników" zakończyła się śmiercią słynnego Sitting Bulla. 15 grudnia pozostający na usługach władz indiańscy policjanci otrzymali rozkaz aresztowania tego wielkiego wodza Siuksów Hunkpapa, który chociaż nie przyłączył się do ruchu tańca ducha, to pozostawał groźnym symbolem indiańskiej wielkości i niezależności, i zdaniem białych w każdej chwili mógł stanąć na czele buntu. Sitting Bull sprzeciwił się uwięzieniu go i w starciu swoich zwolenników z policjantami zginął od kuli. Wiadomość o jego śmierci rozniosła się błyskawicznie, potęgując jeszcze obawy i napięcie wśród neutralnej części Siuksów.

O sprzyjanie religii Mesjasza podejrzany był także Big Foot, wódz Siuksów Miniconjou z rezerwatu Cheyenne River. Jego grupa liczyła wówczas ok. 120 mężczyzn oraz 230 kobiet i dzieci; wśród nich byli też uciekinierzy z grupy Sitting Bulla. Kiedy opuścili oni obóz z zamiarem udania się do Pine Ridge po przydział żywności i konie, wojsko postanowiło ich zatrzymać.

28 grudnia 7 pułk kawalerii Stanów Zjednoczonych pod dowództwem pułkownika Forsytha otoczył wygłodzonych i zmęczonych Siuksów nad strumieniem Wounded Knee w rezerwacie Pine Ridge. Na wzgórzach wokół prowizorycznego obozowiska żołnierze ustawili karabiny maszynowe. Następnego ranka, 29 grudnia, zaczęto odbierać Indianom ich niezbyt liczną broń. Jeden, przypadkowy zapewne, strzał spowodował, że na obóz ludzi Big Foota runęła lawina ognia. Żołnierze nie wybierali celów, strzelali do wszystkich - do poddających się starców i do kobiet ratujących się ucieczką, do próbujących stawiać beznadziejny opór wojowników i do dzieci bezskutecznie szukających schronienia przed kulami.

Amerykanie nie zapomnieli klęski, jaką ten sam 7 pułk kawalerii, dowodzony wówczas przez generała Custer, poniósł w 1876 r. nad Little Big Horn. Do dziś, wbrew oczywistym faktom, masakrę nad Wounded Knee nazywa się często w USA "bitwą" i traktuje jako rewanż za porażkę, której w starciu z wojownikami Crazy Horse'a i Sitting Bulla doznali: Custer i amerykański honor. Dopiero przed kilku laty władze przyznały potomkom ofiar skromne odszkodowanie. W noworoczny poranek, gdy opadły emocje i ucichła zamieć, wysłani z agencji Pine Ridge żołnierze wykopali podłożny dół i wrzucili do niego zmasakrowane i ograbione zwłoki 153 Siuksów (źródła podają też inne liczby). Wielu innych zginęło w śnieżnych zaspach lub zmarło później na skutek odniesionych ran. Większość z 25 zabitych żołnierzy padło w krzyżowym ogniu własnej broni.





Tylko opanowaniu dowódców innych oddziałów i wódzów Siuksów należy zawdzięczać, że wybuchające tu i ówdzie zamieszki nie zakończyły się już nigdzie równie tragicznie. Ale 1200000 dolarów, które kosztowała rząd "wojna z duchami", mogło poprawić położenie i nastroje Indian i ocalić życie ponad 350 ludzi. W połowie stycznia w rezerwatach zapanował względny spokój. Zapowiadany Mesjasz nie nadchodził, a obrzędowe koszule tańca ducha okazały się zbyt słabą ochroną nie tylko przed kulami, ale i przed zimnem. Zawiedzeni w swych nadziejach taneczerze wracali więc powoli do agentów po przydziały żywności i koce. 21 stycznia generał Miles zarządził w Pine Ridge ogólny przegląd wojsk. Demonstracja siły 3,5 tysiąca żołnierzy pozbawiła Siuksów resztek złudzeń co do skuteczności ewentualnego powstania. Wraz z końcem roku 1890 "indiańskie wojny" przeszły do historii.

W 1903 r. Siuksowie wzniesli na miejscu masakry masowy grób, kryjący szczątki 102 dorosłych mężczyzn i kobiet, 32 starców, 6 dzieci i 7 niemowląt. Ale przez całe dziesięciolecie o indiańskim cmentarzu w Wounded Knee pamiętał mało kto, poza rodzinami poległych.

Dopiero w 1973 r. świat ponownie usłyszał o tym niewielkim miasteczku w Dakocie Połudn. Młodzi bojownicy Ruchu Indian Amerykańskich (AIM) na prośbę tradycyjnej starszyny Siuksów Oglala zgromadzili się w miejscu tragedii sprzed 83 lat. Zajmując Wounded Knee, zaprezentowali przeciwko warunkom ekonomicznym i społecznym, w jakich przyszło im żyć w rezerwatach i slumsach Ameryki. Nie widząc innego wyjścia, w sposób godny wojowników sprzed wieku sprzeciwili się łamaniu zawartych z indiańskimi narodami traktatów oraz korupcji władz plemiennych, narzuconych przez krytykowane rządowe Biuro do Spraw Indian.

Przez 71 dni i nocy policja i wojsko oblegały protestujących, a kolejne rundy negocjacji przerywane były strzałami, których echo rozchodziło się daleko poza Amerykę. Nacisk opinii publicznej sprawił, że tym razem nie doszło do masakry, choć na ziemi kryjącej ciała zamordowanego podstępnie Crazy Horse'a i Indian z grupy Big Foota padły nowe ofiary. Świat usłyszał o nekających współczesnych Indian problemach, ale zawarcie porozumienia i wypalenie fajki pokoju nie przyniosło ich rozwiązania. Uwikłani w procesy sądowe przywódcy okupacji Dennis Banks i Russell Means nie byli w stanie skutecznie wykorzystać rozgłosu, jakie zyskało miasteczko Siuksów, dla poprawy warunków ich życia.

Od tamtej pory co roku w grudniu Wounded Knee przyciąga uwagę wielu tubylczych Amerykanów i ich przyjaciół. Od pięciu lat historyczny szlak grupy Big Foota przemierza liczniejsza każdej zimy grupa indiańskich "jeźdźców pamięci". Również i w tym szczególnym roku 150-milowy rajd przez dawne ziemie Siuksów zakończy się rocznicowymi uroczystościami i ceremoniami religijnymi w Wounded Knee. Setna rocznica masakry upamiętniona zostanie odsłonięciem pomnika poległych Indian oraz szeroko zakrojonymi studiami archiwalnych dokumentów. W planach jest też budowa centrum kulturalnego i muzeum oraz stypendia dla młodych Siuksów, pragnących studiować tubylczą historię i kulturę.



Świadek masakry, szaman i wizjoner Siuksów Black Elk, wspominał po latach: "Nie wiedziałem wtedy, jak wiele się skończyło. Kiedy teraz spoglądam wstecz z wysokiego wzgórza swej starości, wciąż widzę zmasakrowane kobiety i dzieci, leżące na stertach i porozrzucane wzdłuż krętego wawozu, równie jasno jak wtedy, gdy ujrzałem je młodymi jeszcze oczyma. I widzę, że coś jeszcze umarło tam w krwawym mule i zostało pogrzebane w zamieci. Umarło tam marzenie ludzi. Piękne marzenie..."

Ten dramatyczny koniec indiańskiego świata nie oznaczał jednak końca nadziei. Wydarzenia minionego wieku uczyniły z Wounded Knee symbol indiańskiego przywiązania do tradycji przodków i troski o przyszłe pokolenia. Jak przez ostatnie sto lat - tubylczy Amerykanie podążają tam, fizycznie lub choćby duchowo, bowiem - choć nie liczą już na Mesjasza - wciąż próbują odmienić gorzki los swego ludu.

Marek Nowocien



# SĄDZIŁAM, ŻE MOJA SKÓRA I KOŚCI DOJRZEJĄ

"Kiedy zamieć ucichła cztery dni później (po masakrze) wysłano do Wounded Knee grupę pogrzebową. Wykopano długi rów. Wiele ciał było obnażanych przez białych, którzy przychodzili, by zabrać koszule duchów i inny ekwipunek noszony przez Indian... zmarznięte ciała wrzucano do rowu sztywne i nagie... tylko garstka przedmiotów pozostaje w prywatnych rękach... śnieg, w którym leżały usztywniał legginy i mokasyny, a wszystkie przedmioty noszą znaki czasu i długotrwałego użytkowania..." Dalej następuje lista: mokasyny za 140 dolarów, skrobaczka do skóry za 350, skórzana koszula za 1200, kobiece legginy za 275, napierśnik z kości za 1000 dolarów.

"Sztuka Indian Prerii", katalog handlowy Kennetha Canfielda z 1977 r.

Sądziłam, że moja skóra i krew  
dojrzeją  
nie zostaną oddzielone od kości;  
obiera się mnie jak zielony owoc  
zjada się i wyrzuca; moje nasiona deptane się  
i miżdzą  
tak jakby nie było przyszłości. Teraz  
nie ma  
przyszłości. Moje własne ciało pozbyło się koralu  
moje własne ramiona oddały dzieci  
by nacięto je na bagnety, by przeliczono  
je jak paciorki różańca a następnie  
przewrócono na każdą stronę życia  
tak jakby ból ich narodzin  
nigdy nie istniał.  
Moje stopy przymarzły do skóry,  
oderwane, porzucone - kawałki ciała  
przy mokasynach, kawałki wyprawionej skóry jeleniej  
na kościach. Mój grzbiet odarto  
z okrycia, jego nienaruszone ozdoby zdarto,  
zabrano, odnowiono.  
Moje legginy zdarto jak podczas gwałtu  
i naciągnięto do rozmiarów manekina  
tak jakby nigdy nie czuły  
nacisku mojego silnego kobiecego ciała  
idącego przez wzgórza.  
To było moje dziecko, kotłyskę którego trzymałam.  
Schowałam je w ustach  
jak wąż  
gdybym mogła, zamieniłabym je  
w krzak lub starą skałę  
gdyby było dość magii  
na takie przemiany. Nie dość magii  
by choćby powstrzymać kule.  
Nie dość magii  
by powstrzymać naukowców.  
Nie dość magii  
by powstrzymać zbieraczy.

przełożył M. Nowocien



Wkradając się do  
wounded knee  
przez przełom rzeczki  
spotkałem przewodnictwo  
ducha  
kobiety uciekającej  
83 lata temu  
z dziećmi  
przyszłości  
zabijanymi  
mordowanymi  
tak daleko od  
pola  
"bitwy"  
kamienie  
poplamione  
krwią  
kobiety  
miniconjou  
drzewa, zarosła  
każde źdźbło preriowej trawy  
wypełnione nawiedzającym duchem  
mordowanego narodu  
czuwającego narodu  
wzrastającego narodu  
duch miniconjou  
znalazł mnie godnego  
bym  
walczył na swoim miejscu  
bym pomścił  
z zemstą i wściekłością  
mówiąc mi  
że  
mogę pomóc  
w odrodzeniu  
tego narodu  
i że jest to niezbędne  
do wskazania mi prawdziwej  
drogi do śmierci

Karoniaktatie  
przełożył M. Maciołek

Karawana ciężarówek i antycznych samochodów  
Podągała ku południowi w bezksiężycową noc,  
Exodus pod biernymi gwiazdami,  
Odbijającymi błyszczące światło ducha.  
Gdzieś po drodze ominęło słowo,  
Ze koniec podróży może się stać wspólnym grobem,  
Pod którego ziemią zgromadzi się trzysta dusz,  
Strażników wyzwolonej ziemi.  
Bęben z surowej skóry rozpoczął swe uroczyste bicie,  
W rytmie orlego krzyku,  
Czekające duchy skakały do śród,  
Gdy ich krewni przekraczali mały potok.  
W nacięciach fajek - widm płonęło brzoźowe drewno  
W cichej radości z powodu tych, którzy powrócili.

Bill Kunstler  
przełożył M. Nowocien



# MOHAWK TERRITORY

## NO TRESPASSING



W numerze 13 "TAWACINu" zamieściliśmy artykuł pt. "Kahnawake - enklawa nadziei", poświęcony jednej z kilkunastu społeczności Mohawków, zamieszkujących pogranicze Kanady i USA. Pisaliliśmy w nim m.in. o konfliktach Indian z władzami wokół praw własności do ziemi a także o sporach między indiańskimi tradycjonalistami i zwolennikami zmian. O obu tych problemach Mohawków stało się głośno tego lata w całym świecie. Poniżej prezentujemy wybór publikacji poświęconych tym tematom. =MN=

### GUY DE GARCIA: WOJOWNICY I ŻOŁNIERZE

C) Konflikt rozpoczął się na początku lipca, kiedy policja zaatakowała blokadę, którą cztery miesiące wcześniej wzniesli Indianie z rezerwatu Kanasatake koło miasta Oka, 29 km na zachód od Montrealu. Mohawowie protestowali przeciwko rozszerzaniu pola golfowego na tereny, które uważają za ziemie przodków. Podczas strzelaniny zginął policjant. Tego samego dnia, po drugiej stronie Rzeki Św. Wawrzyńca, Mohawowie z Kahnawake zablokowali w akcie solidarności most Merciera. Kryzys przeciągał się, sporadycznie dochodziło do potyczek między Indianami i policją. Premier Quebecu Robert Bourassa zastąpił policję oddziałami wojska. Wówczas niemal wszyscy - bez kilkuset - spośród 1500 mieszkańców Kanasatake przenieśli się w bezpieczniejsze miejsca.

Tymczasem przedstawiciele obu stron poszukiwali kompromisu. Kluczową sprawą było żądanie władz, aby członkowie Stowarzyszenia Wojowników Mohawków zniszczyli nielegalną broń w obecności armii, czego Indianie odmawiali. Negocjatorzy spierali się także, czy Mohawowie mogą być zwolnieni od odpowiedzialności prawnej, co zdaniem Indian nie powinno być określane jako amnestia. "Nazywamy to traktatem pokojowym, bo zawiera go naród z narodem" - powiedział wódz Joe Norton. "Żaden naród nie udziela drugiemu narodowi amnestii."

Premier Kanady Brian Mulroney zdecydowanie odrzucił żądania Stowarzyszenia Mohawków jako "nierealistyczne" i "dziwaczne". Rząd federalny stwierdził, że jest przygotowany do negocjowania porozumień, które przyznałyby Indianom większą kontrolę nad ich sprawami, ale odrzucił możliwość wyłączenia Mohawków spod kanadyjskiego prawa.

(TIME nr 37, 10.09.1990)

### LIST DO PREMIERA

Panie Premierze, C) czy nie sądzi Pan, że trzeba raz na zawsze pozostawić Indianom ich dawne ziemie? To oni żyją w swoim rodzinnym kraju, i to od 25000 lat, a nie Pan, czy inni biali przybysze. Sądzę, że nie byłby Pan zadowolony, gdyby ktoś chciał zniszczyć groby Pańskich przodków. Gdyby zdemolowano jeden z kościołów w Montrealu, lub piękny pałac Sportu, czy Kanadyjczycy byłiby zadowoleni? Nie. Ale kto zwykle jest ofiarą? Dumni Indianie, na których nastawano w XVII i XVIII w. w imię krzyża i narodu, aby narzucić im naszą "cywilizację".

Panie Premierze Bourassa, wystarczy tylko godzina, aby wypełnić podpisami tę petycję. A ile podpisów zebrałbym w ciągu dnia? Tysiące od myślących tak jak ja: ZOSTAWCIE INDIANSKĄ AMERYKĘ W SPOKOJU. C)

Martin Kersmaekers

(BIG BEAR nr 34, wrzesień 1990)



C) Jakby nie było dość napięć związanych ze stosunkami Quebecu z resztą Kanady - prowincja ta boryka się obecnie z nieoczekiwanym wybuchem konfrontacji między Indianami ze szczepu Mohawk a siłami policyjnymi w miejscowościach Oka i Chateaugay w okolicy Montrealu.

Konflikt, początkowo lekceważony, doprowadził już do śmierci jednego z policjantów i ujawnił ostre animozje między białymi rezydentami a Indianami. Prowincjonalny rząd Bourassy zmuszony był zwrócić się o pomoc do Ottawy, co uznać można za swoistą ironię w sytuacji wzrostu nastrojów separatystycznych w Quebecu. Rzecz w tym, że to właśnie rząd federalny podpisywał wszystkie układy z Indianami, dotyczące ich praw do ziemi, a konstytucja federacji z roku 1982 po raz pierwszy zagwarantowała wszystkim Indianom, Eskimosom (Inuit) i Metysom, a więc potomkom pierwszych mieszkańców kraju, specyficzną ochronę. (C)

Tym wszakże, co wzbudziło niepokój w całym kraju, było ujawnienie się po obu stronach konfliktu tak ostrych niechęci, sięgnięcie przez Indian do broni, lekceważenie akcji sił policyjnych. W prasie kanadyjskiej mącą się opinie, że wzrost nacjonalizmu w Quebecu odbija się także na stosunku władz lokalnych do grup mniejszościowych, w tym Indian. Mohawkwie tymczasem otrzymali wsparcie ze strony innych grup Indian, zamieszkanych w północnej części Ontario, którzy zablokowali odcinek linii kolejowej, prowadzącej ze wschodu na zachód kraju.

Tym samym przypomnieli anglojęzycznej Kanadzie, że problem stosunków białych z Indianami dotyczy wszystkich prowincji, a działania władz centralnych na rzecz lepszego zrozumienia cywilizacji Indian przez pozostałych Kanadyjczyków leży we wspólnym interesie. Właśnie niedawno federalny minister komunikacji, Marcel Masse, włączył w program rozwoju muzealnictwa specjalną sekcję, poświęconą kulturze Indian. Od rządu federalnego pochodzi też większość funduszy na rozwój szkolnictwa dla indiańskich dzieci. (C)

Afera z Indianami Mohawk niepokoi też amerykańską opinię publiczną, aż nadto świadomą własnych potencjalnych problemów wynikających ze współżycia z mieszkańcami indiańskich rezerwatów, a także z asymulacji Indian w nowoczesne struktury cywilizacyjne. (C) Optymiści sądzą, że "kuracja wstrząsowa" ze strony Mohawków i quebeckich separatystów może zmusić siły polityczne Kanady do szukania nowych rozwiązań dla funkcjonowania federacji i ochrony interesów mniejszości kulturowych.

(ŻYCIE WARSZAWY nr 194, 22.08.1990)

### ZAKOPANO WOJENNE TOPORY

Uzbrojeni Mohawkwie i żołnierze armii kanadyjskiej wspólnie rozebrali w środę (29.08) wieczorem barykadę wzniesioną przez Indian kilka tygodni temu na moście Merciera w rezerwacie Kahnawake w prowincji Quebec. Od rana wojsko zajmowało pozycje wzdłuż przecinającej rezerwat szosy do Montrealu, przygotowując się do przełamania czołgami i transporterami opancerzonymi dwóch indiańskich barykad. Jednocześnie trwały gorące rozmowy, by zapobiec przelewowi krwi.

Oficjalne negocjacje załamały się w ubiegłą sobotę (25.08), gdy Mohawkwie zażądali traktowania ich jako suwerennego narodu i umorzenia śledztwa w sprawie zabójstwa policjanta 11 lipca na barykadzie w Oka. W poniedziałek władze wezwały na pomoc armię. Trzystu Indian z Nowego Brunszwiku wyruszyło do Quebecu z zamiarem utworzenia żywego buforu między czołgami leopardami a barykadami Mohawków. We wtorek zaatakowali Indian biali mieszkańcy Quebecu. W odwecie za blokowanie dróg odcięli dostęp do rezerwatu, napastowali uciekające kobiety i dzieci. Kilkunastu Indian zostało rannych. Porozumienie z dowódcą oddziału, który miał przełamać blokadę na moście zawarto w ostatniej chwili.

(GAZETA WYBORCZA nr 202, 31.08.1990)

Najpierw wrzucili do ognia dokumenty, krótkofalówki i broń, następnie zgromadzili się wokół ceremonialnego ogniska na modlitwę. Po 75 dniach zbrojnego konfliktu z policją i wojskiem 50 ostatnich Mohawków z Kanesatake miało dosyć. Ich ostatnią fortecą, ośrodek odwykowy dla narkomanów i alkoholików, od blisko miesiąca otaczał drut kolczasty i żołnierze. Wobec braku dostaw żywności i ciągłego huku helikopterów ponad głowami Indianie postanowili zakończyć protest. Nie było to jednak poddanie się - jak stwierdzili w swoim oświadczeniu: "Odchodzimy stąd z podniesionymi głowami, godni i dumni z obrony ziemi."

Jak się okazało, najostrożniejszy od ponad wieku konflikt tubylców z rządem zakończył się tak, jak się rozpoczął - zamieszczeniem i gwałtem. Zamiast zgłosić się na posterunek, gdzie oczekiwało ich wojsko, Mohawkwie usiłowali zbiec. Wśród szamotaniny i krzyków żołnierze i policjanci powalali ich - nierazko brutalnie - na ziemię. W zamieszaniu wymknął się Loran Thompson, przywódca kierującego walką bojowniczego Stowarzyszenia Wojowników. 37 innych oskarżono później o przestępstwa zakłócania porządku, oporu wobec prawa i posiadanie broni. (C)

Tubylczy przywódca twierdzi, że konflikt wyrósł z dziesięcioleci bezkompromisowego stanowiska władz wobec tubylczych żądań większej suwerenności w ramach Kanady. "Jeśli będziemy dobrzy małymi Indianami, Wujami Tomami, to nigdy nic nie osiągniemy" - powiedział Georges Erasmus, krajowy przywódca Zgromadzenia Pierwszych Narodów (AFN). Zanim w ubiegłym tygodniu powstanie zakończyło się, premier Brian Mulroney ogłosił plan przyspieszenia rozstrzygnięcia zaległych tubylczych roszczeń ziemskich i poprawy warunków życia Indian w rezerwach. Jednocześnie jednak podkreślił on, że "tubylczy samorząd nie oznacza teraz i nie może oznaczać nigdy suwerennej niepodległości".

Wzajemny brak zaufania między rządem i tubylcami pogłębił się tylko na skutek konfliktu w Oka. Erasmus przewiduje "główne starcie" w sprawie planów Quebecu budowy dużego kompleksu elektrowni wodnych na rzece Great Whale nad Zatoką Hudsona. Projekt ten przewiduje zalanie co najmniej 966 km kw. ziem, które tubylcy uważają za swoje. "Chcemy powstrzymać ten projekt środkami pokojowymi" - mówi Bill Namagoose, przewodniczący Wielkiej Rady Kri z Quebecu. "Ale 65 % naszych ludzi nie ma jeszcze 25 lat i całe to pokolenie zostało pobudzone przez Mohawków z Oka." Taka reakcja nie ogranicza się do młodzieży. "Wielu Indian stwierdziło ze zdziwieniem, że zbrojny opór może być usprawiedliwiony" - mówi Marlene Castellano z Uniwersytetu Trent. "Odpowiedzią na nasz okrzyk bólu były czołgi i bagnety - i to było zdumiewające."

700 000 kanadyjskich aborygenów nie podziela jednej konkretnej wizji "samorządu". Ottawa wskazuje, że tubylcy zarządzają już większością z 3,5 mld dolarów funduszy federalnych, przyznawanych co roku na tubylcze programy. Ale, zdaniem Castellano, pieniądze na ochronę zdrowia, oświatę i budownictwo mieszkaniowe przyznawane są pod tak szczegółowymi warunkami, że indiańscy administratorzy wypełniają jedynie dyrektywy Ottawy. "Nasze koncepcje negocjacji jak naród z narodem nie oznaczają wcale, że pragniemy tworzyć w Kanadzie odrębne państwa." Chociaż bardziej radykalni tubylcy - w tym Wojownicy - chcą właśnie tego, to ideałem dla Castellano i innych głównych przywódców tubylczych byłoby rozwiązanie umocniające tradycyjne instytucje tubylcze.

Kanada staje w obliczu szeregu trudnych do rozwiązania problemów: kulejącej gospodarki, separatystycznych dążeń Quebecu i społecznego buntu podatników. Bez wstrząsającego konfliktu w Oka sprawy tubylcze przeżyłyby zapewne z pozostałymi problemami. Ale w obliczu rebelii Mohawków Kanada nie ma innego wyboru, jak zająć się głęboko uzasadnionymi skargami tubylców, którzy nie mają zamiaru zamilknąć.

(TIME nr 41, 8.10.1990)





Fot.1 — Zamaskowani i uzbrojeni członkowie Stowarzyszenia Wojowników Mohawków.

Fot.2 — Przywódca Wojowników

Fot.3 — Graffiti malowane przez przeciwników kasyn gry.

Fot.4 — Jeden z pojazdów blokujących drogę

### KTO JEST KIM W AKWESASNE ?

W położonym po obu stronach granicznej Rzeki Św. Wawrzyńca Rezerwacie Akwesasne (St. Regis) działają cztery lokalne rządy. Jeden - to narzucona przez białych i pochodząca z wyborów rada wodzów po kanadyjskiej stronie. Drugi - to podobny rząd narzucony przez prawo Stanów Zjednoczonych po stronie amerykańskiej. Jest też tradycyjna rada wodzów, reprezentująca cały rezerwat. I wreszcie wszystkie te trzy rządy tworzą okazjonalnie czwarte ciało do negocjacji ze światem zewnętrznym w takich kwestiach, jak np. roszczenia terytorialne.

Mike Mitchell, wielki wódz Rady Mohawków z Akwesasne (MCA) - rady wybranej po stronie kanadyjskiej - jest przywódcą obozu przeciwników kasyn gry. Popiera go Harold Tarbell, główny wódz rady plemiennej Mohawków St. Regis (MTC) - rady wybranej po stronie amerykańskiej - a także tradycyjni Mohawkowie z Długiego Domu, grupy dziewięciu wodzów wyznaczanych przez matki klanowe z trzech głównych klanów Mohawków.

Po drugiej stronie konfliktu znajdują się właściciele kasyn oraz dwóch amerykańskich wodzów, podległych Tarbellowi. Popiera ich Stowarzyszenie Wojowników Mohawków - zbrojna organizacja, która w gorącym letnim okresie trzymała przeciwników hazardu z dala od kasyn i która kierowała kwietniową akcją rozbicia barykad drogowych, wzniesionych przez przeciwników jaskiń hazardu.

(OTTAWA CITIZEN, 5.05.1990)

### "INDIAŃSKI ŚLAD" MAFII

WASZYNGTON: Były członek organizacji przestępczej, zeznający anonimowo pod ścisłym nadzorem przed komisją Senatu powiedział, że mafia kontroluje co najmniej tuzin komercyjnych salonów gry w bingo w indiańskich rezerwach. Śledząc za ekranem ukrywającym go przed senatorami i przemawiając przez urządzenie zniekształcające głos, świadek ocenił, że około połowy indiańskich salonów gry w bingo powiązanych jest w taki lub inny sposób ze światem zorganizowanej przestępczości.

Jego zeznanie kłóci się z wcześniejszymi zapewnieniami jednego z szefów FBI, jakoby bezpośrednie zaangażowanie mafii w interesy Indian było stosunkowo niewielkie. Świadek oskarżył także federalne Biuro do Spraw Indian o to, że nie robi absolutnie nic z dostarczonymi mu dowodami kontroli mafii nad indiańskimi kasynami. Świadek, określany jedynie jako Marty, zeznał, że przez sześć lat kierował kontrolowany, przez mafię salonem gry w bingo w jednym z rezerwatów na zachodzie Stanów Zjednoczonych. W celu uniknięcia interwencji plemienia, jego przewodniczący otrzymywał co tydzień czek na tysiąc dolarów.

Władze plemienne często zatrudniają ludzi z zewnątrz do prowadzenia salonów gry w rezerwach, a pracownicy ci bywają czasem kontrolowani przez zorganizowaną przestępczość. Poza czerpaniem z nich zysków, indiańskie salony gry w bingo służą też mafii do "prania" pochodzących z nielegalnych źródeł "brudnych" pieniędzy.

(CKON RADIO NEWS, AKWESASNE NOTES Vol.21 No.2, late winter 1989)

### WOJNA DOMOWA W REZERWACIE

Uzbrojone po zęby oddziały policji amerykańskiej i kanadyjskiej wkroczyły do rezerwatu, który zamieszkują Indianie z plemienia Mohawk. Przez kilka dni trwały tam walki między obrońcami kasyn gry a ich przeciwnikami. Dwie osoby zostały zabite.

Rezerwat Akwesasne znajduje się po obu stronach granicy amerykańsko-kanadyjskiej. Na jego terenie (na terytorium Stanów Zjednoczonych) funkcjonuje sześć jaskiń hazardu. Indianie występujący przeciwko nim zablokowali drogi dojazdowe, zaś z odsieczą zagrożonym kasynom pospieszyło tzw. Stowarzyszenie Wojowników, którego członkowie na polu walki pojawili się uzbrojeni w karabiny i granaty. Kres 9-godzinnej wymianie ognia położyła interwencja oddziałów kanadyjskiej policji konnej z prowincji Quebec i Ontario oraz sił porządkowych z amerykańskiego stanu Nowy Jork.

Wcześniej wielokrotnie podejmowano próby pogodzenia zwaśnionych Indian, ale nie dały one żadnego efektu, zaś determinacja obu stron doprowadziła do gwałtownej eksplozji. Teraz wysiłki medacyjne uzyskały niezbędne wsparcie. Rezerwat został otoczony, a część jego mieszkańców ewakuowano. (Przeciwnicy kasyn skarżą się, że ich liczne prośby o wcześniejszą pomoc lub interwencję władz były lekceważone, zaś występujący pod hasłami obrony suwerenności plemienia - ale faktycznie broniący sprzecznych z prawem prywatnych interesów - "wojownicy" atakowali tradycjonalistów za używanie do "zewnętrznej ingerencji" w wewnętrzne sprawy narodu Mohawków" - MN)

Działające na terenie rezerwatu kasyna władze federalne USA uznały za nielegalne, ale mimo to proceder kwitnie przyciągając tysiące hazardzistów spoza rezerwatu. Zyski idą w miliony dolarów, a ich część trafia zapewne do kasy Stowarzyszenia Wojowników, w decydującym stopniu przyczyniając się do jego determinacji. Z kolei przeciwnicy kasyn obawiają się, że uprawianie hazardu na tym terenie może narazić Mohawków na rozmaite pokusy, włącznie z przemytem broni i narkotyków.

(EKSPRESS WIECZORNY, 4.05.1990)



Na początku września "Gazeta Wyborcza" opublikowała korespondencję pana Jacka Kalabińskiego pod dość zaskakującym tytułem "Indiańska nomenklatura broni się". Na nie mniej zaskakującą treść owej korespondencji składały się niemal wyłącznie niedopuszczalne uproszczenia, niesprawiedliwe uogólnienia oraz fałszywe - lub co najmniej mocno dyskusyjne - oceny obecnych stosunków społeczno-politycznych i własnościowych w rezerwach Indian Ameryki Północnej.

Nie brak w tej korespondencji sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem "danych liczbowych" ("W tym roku przeciętna rodzina indiańska w Kanadzie otrzyma z rządowej opieki społecznej świadczenia w gotówce i naturze wartę 60 tysięcy dolarów", "Rząd zaproponował Indianom rekompensatę w wysokości 40 tysięcy dolarów i 200 hektarów ziemi na każdego", "W Kanadzie Indianie otrzymują rocznie od rządu 60 tysięcy nowych i wyremontowanych domów - za darmo") oraz innych niezbyt przystających do rzeczywistości "informacji" ("Prawa wyborcze ma tylko starszyzna i są one dziedziczne", "Indianie nie mają prywatnej ziemi", "Problemy Indian znikają, gdy tylko opuszczą oni rezerwy", itp.).

Na kluczowe pytanie: "Dlaczego Indianie są nieszczęśliwi?" odpowiedź autora brzmi: "Problem leży nie w braku pieniędzy, lecz w braku demokracji i własności prywatnej", zaś winę za to ponosić ma tytułowa "indiańska nomenklatura", czyli plemienna starszyzna, "która nie cofa się przed użyciem siły w obronie własnych przywilejów" oraz "nie rządzi za pomocą prawa, lecz strzelby, którą teraz zastąpił kałasznikow".

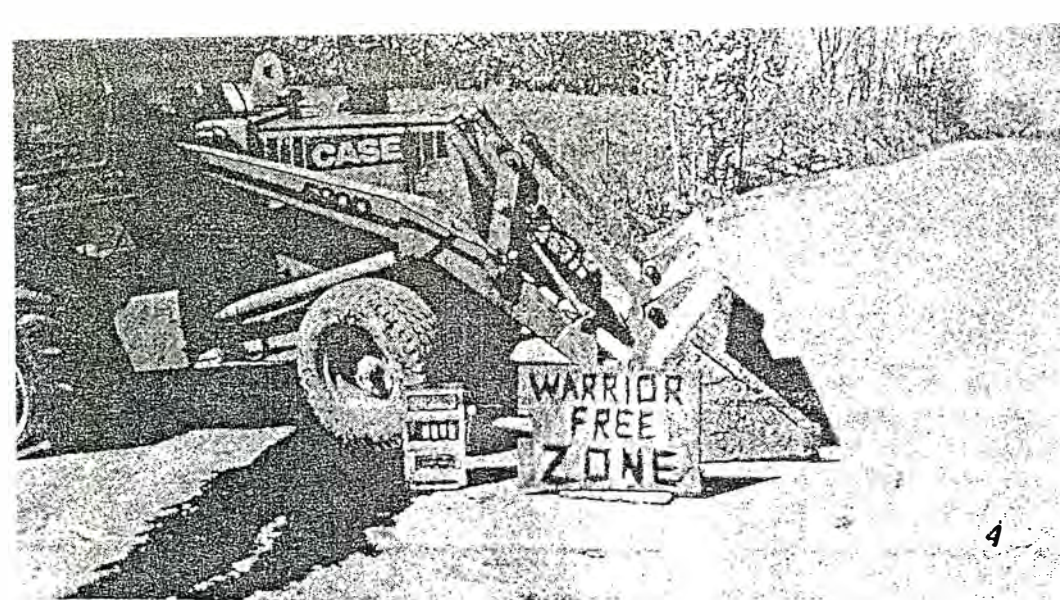
Nie nowa to, choć modna obecnie u nas, recepta - o "socjalizmie" panującym w rezerwach mówił np. sekretarz spraw wewnętrznych w administracji Reagana J. Watt - tracąc wkrótce stanowisko. Jej zwolennicy wydają się nie zauważać, że w stosunku do społeczności indiańskich byłaby to recepta mocno spóźniona, jeśli weźmie się pod uwagę choćby istnienie Wielkiego Prawa Pokoju - niepisanej konstytucji Ligi Irokezów. Posłużyło ono niegdyś za wzór demokratycznego prawa twórcom konstytucji Stanów Zjednoczonych (a więc pośrednio również - autorom Konstytucji 3-go Maja) i do dziś stanowi demokratyczną podstawę funkcjonowania tradycyjnych władz irokeskiej Ligi Sześciu Narodów.

Byłaby to również recepta zgubna, bowiem szybka prywatyzacja indiańskich ziem przyniosłaby nie tylko likwidację rezerwatów (czego ich mieszkańcy wcale nie pragną), ale i upadek całego systemu społeczno-ekonomicznego umożliwiającego przetrwanie tysiącom indiańskich rodzin. Oznaczałoby to zagładę ostatnich w Ameryce Północnej enklaw plemiennych kultur, języków, religii i obyczajów. Czy o takie rozwiązanie "indiańskiego problemu" chodziło autorowi korespondencji?

Wielka szkoda, że zamiast mało znanych, a nie mniej sensacyjnych szczegółów na temat poważnych problemów Indian, których znaczenie wykracza daleko poza granice rezerwatów, amerykański korespondent "Gazety Wyborczej" dostarczył czytelnikom żalostną mieszankę dezinformacji, niekompetencji i naciąganych analogii. Właśnie takie - instrumentalne, bezkrytyczne i akceptowane bez sprzeciwu - traktowanie problemów tubylczych Amerykanów może - jak sam napisał - "nieraz jeszcze doprowadzić do powtórzenia się wypadków z Oka czy Wounded Knee".

Redakcja "Gazety Wyborczej" nie raczyła jak dotąd opublikować choćby fragmentów przesłanej na jej adres rzeczowej polemiki. W żaden inny sposób nie ustosunkowała się do przedstawionych tam zarzutów i propozycji. Dlatego naszym czytelnikom radzimy z przymrużeniem oka traktować ewentualne kolejne rewelacje Jacka Kalabińskiego na temat Indian - tym bardziej, że - jak sam przyznał - spędził "przed laty kilka dni w rezerwach indiańskich na południowym zachodzie USA". Zaś nie reagując na głosy czytelników redakcji sugerujemy zmianę nazwy, np. na "Gazeta Zaściankowa".

Marek Nowociński



#### KANENTIIO: JAK TO Z NAMI JEST.

Być może jesteśmy pesymistami, ale "społeczność" Akwesasne została zniszczona. Gwałt ostatnich miesięcy skutecznie położył kres marzeniom i planom Mohawków zjednoczonych w dążeniu do ideałów przekazanych nam przez Twórcę Pokoju. Przez minione 10 lat pracowaliśmy ciężko nad ożywieniem i umocnieniem Wielkiego Prawa Pokoju.

Była to dobra, pokojowa walka. Nasi tradycjoniści chodzili do szkół, śpiewali w kościołach, założyli radiostację, rozpoczęli wydawanie lokalnej gazety, uporządkowali nasze roszczenia ziemskie, stworzyli system trzech połączonych rad plemiennych, spisali plemienny kodeks prawny. Czekaliśmy na wielkie dobre rzeczy. Jeszcze w 1987 r. Akwesasne miało szansę rozpoczęcia pokojowej rewolucji, która mogłaby posłużyć za przykład innym ludom tubylczym.

Szybkość, z jaką runęły nasze marzenia może świadczyć o tym, jak bardzo niedoceniailiśmy potęgę sił chciwości i nienawiści. Siły te zgromadziły się, atakując każdego, kto był za jednością i pokojem. By zniszczyć swoich oponentów, nie wahały się przed najpodlejszymi chwytami, a gdy były pewne swego - przed fizycznymi atakami na domy i miejsca pracy swoich przeciwników. Z upływem miesięcy gwałt narastał a szanse na pokój stawały się coraz bardziej nikłe.

Nasi ludzie wiedzieli, że brak pomocy może grozić utratą życia. 32-dniowa pokojowa blokada kasyn gry zakończyła się, gdy hazardziści i renegaci z Sił Bezpieczeństwa Suwerenności Mohawków (czyli tzw. Stowarzyszenia Wojowników w Akwesasne) zaatakowali ludzi bronią maszynową. Później były też strzały wymierzone w policję Mohawków, aż wreszcie, 1 maja, śmierć dwóch Mohawków z ręki zabójców powiązanych z Artem Montourem i jego "wojownikami".

Dopóki przestępcy ci nie zostaną postawieni przed sądem - nie będzie pokoju w Akwesasne. Dopóki nie zostaną powstrzymani, Haudenosaunee (Lud Długiego Domu) będzie terroryzowany. Drzewo Pokoju - pozbacone korzeni, a Wielkie Prawo Pokoju - gwałcone. Wielkie słowa, ale wielki jest też żal rodzin Matthewa Pyke'a i Harolda "JR" Edwardsa.

Potrzebujemy pomocy. Znowu zostaliśmy podpaleni. Jesteśmy w samym centrum walki. Możemy nie przetrwać, ale będziemy walczyć nadal. Tak to z nami jest.

AKWESASNE NOTES, Vol. 22 No. 2





## MALARSTWO INDIAN AMERYKAŃSKICH

### Jamake Highwater

Urodzony w 1942 roku, autor niniejszego artykułu pochodzi ze szczepów Czarnonogich i Czirokezów, jest cenionym znawcą historii, kultury, sztuki i obyczaju indiańskiego, wykładowcą na uczelniach amerykańskich i kanadyjskich. W bogatym dorobku pisarskim, oprócz 2 powieści, 2 rozpraw muzycznych i licznych artykułów krytycznych zamieszczanych w prasie literackiej, ma on m.in. wydane w latach 1978-80 ośmiotomowe dzieło pt. Masterpieces of American Indian Painting (Malarskie arcydzieła Indian amerykańskich) i The Primal Mind: Vision and Reality in Indian America (Umysłowość pierwotna. Wizja i rzeczywistość w indiańskiej Ameryce). Highwater jest również inicjatorem, autorem, narratorem i prezydentem serii oświatowych audycji o tematyce indiańskiej, transmitowanych od 1977 r. przez Zrzeszenie Niekomercyjnych Stacji TV.



**W**spółczesne malarstwo amerykańskich Indian jest nacechowane indywidualizmem i zaangażowaniem. Bez względu na przynależność rasową artyści zawsze byli świadomi, że „rzeczywistość” zależy całkowicie od osobistego spojrzenia. Dziś jest dla nas jasne, że realizm to po prostu jeden z wielu sposobów ukazania świata. Indianie zaś od wieków pojmowali „sztukę” przede wszystkim jako sposób widzenia. Nie jest to wyłącznie wypracowana i udoskonalona forma ozdoby, bądź luksus odległy od potrzeb życia codziennego, ani wręcz przeciwnie domeną elity. Dla Indian sztuka jest zasadniczym procesem życia, obrazującym indywidualność jednostek i ich życie duchowe; uświadamia nam wspólne dziedzictwo a zarazem naszą wspianą odmienną; uświadamia nam, że oko jest w gruncie rzeczy narządem fizycznym i zmysłowym, a nie tylko ogniwem łączącym otaczający świat z umysłem, któremu dostarcza informacji.

Faktem jest oczywiście, że styl o nacjonalistycznym zacięciu, zwany „tradycyjnym malarstwem indiańskim”, który okrzepł w latach trzydziestych, akcentował takie właściwości sztuki, jak odtwarzanie historii, opiewanie wspianych czynów, rejestrowanie malowniczych szczegółów życia plemiennego. Ale nawet najbardziej tradycjonalistycznie nastawieni artyści owego okresu nie byli wyłącznie zainteresowani przekazywaniem „użytecznych informacji”. Wzrok służył im — a kontynuatorom tego stylu nadal służy — do niepraktycznego, intelektualnego odtwarzania „cudownej rzeczywistości”. W wizualnych doznaniach artyści mieszczą się oczywiście nie tylko przedmioty, ale i zieleń, mrok, gładzizna, krągłość. Pojęcie sztuki jako specyficznego sposobu widzenia jest tak głębokie wśród Indian, że w niektórych językach szczepowych nie istniało słowo „sztuka”.

Jak wspominałem, dzieła współczesnych malarzy indiańskich cechuje ogromna doza indywidualizmu. Ale zarazem artyści ci łączą indiańskie tradycje z XX-wieczną, nieindiańską techniką, tworząc płótna o wyraźnie indiańskim stylu, ale nie odbiegające zbytnio od współczesnej sztuki eksperymentalnej twórców pochodzenia europejskiego. Malarstwo ich bardziej niż inne środki wyrazu odzwierciedla poszukiwanie tożsamości i międzyplemiennych różnic społeczności indiańskich.

Specyfika postrzegania artysty warunkuje jego tematykę i styl. Jeśli widzi to, co mieści się w ramach swoich postaw, artysta będzie najprawdopodobniej tworzył dzieła konwencjonalne. Ale artysta, którego wizja nie jest podatna dla dostępnych środków i techniki, będzie zaliczany do twórców oryginalnych, a nawet awangardowych. Sposób widzenia bowiem i twórczość artystyczna są równie nierozłączne, jak technika malarska — będąca *per se* sposobem widzenia otaczającego nas świata — i treść obrazu. Jedyną funkcją techniki w sztuce jest przekształcenie wizji osobistej lub zespołowej we wspólne doznanie.

Proces indywidualizacji rozpoczął się wśród artystów indiańskich przed 20 czy 30 laty. Oczywiście, w nieindiańskim świecie sztuki już w epoce Renesansu widziano w artyście jednostkę zdolną do wysoce oryginalnej ekspresji indywidualnej. Ale u Indian wyrażanie jednostkowej wizji było zjawiskiem rzadkim i bardzo niechętnie widzianym. Dopiero pod koniec drugiej wojny światowej tradycyjne malarstwo indiańskie zaczęło ulegać



\*

Howard Bobbs

fragmentacji, a akcenty szczepowe i regionalne zanikać. Niestety, jak często się zdarza w społeczeństwach niezdolnych do finansowania własnej sztuki, u niektórych artystów pojawiła się ubolewająca „mentalność turystyczna”, stępująca ich wrażliwość i smak, której „zawdzięczamy” sporo dzieł tworzonych pod gust odbiorcy. Mimo ogólnego odwrótu od tradycyjnego stylu, wielu artystów po dziś go kontynuuje, hołdując dawniejszym wartościom kulturowym.

Ale nieodparcie narastało odmienne podejście. W 1960 roku, podczas jednej z konferencji na Uniwersytecie Stanu Arizona poświęconych tej tematyce położono podwaliny pod nowy kierunek i treści sztuki indiańskiej. W dwa lata później powstał Instytut Sztuki Indian Amerykańskich (w angielskim skrócie IAlA) z siedzibą w Santa Fe (stan Nowy Meksyk). Mieścił się on w tym samym budynku, w którym słynne Studio Dorothy Dunn zapoczątkowało w latach trzydziestych wspianą okres tradycyjnego malarstwa. Nie wszyscy oczywiście malarze poszli w nowym kierunku i nie wszyscy są produktem Instytutu. Sztuka indiańska jest ogromnie zróżnicowana choćby z tego powodu, że rozwijała się i rozwija w wielu rejonach USA. Ale faktem jest, że w latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych Instytut wykształcił większość czołowych artystów tej grupy etnicznej.

Również wśród malarzy, którzy nie kształcili się w Instytucie, było wielu awangardzystów, jak np. Fritz Scholder (patrz *Ameryka* nr 210) czy zmarły w maju 1978 roku T.C. Cannon, dzięki którym szacunek dla indiańskiej praktykantów współczesnego języka sztuki wzrósł ogromnie.

Trudno nie docenić znaczenia indiańskich ośrodków sztuki w Santa Fe, w Scottsdale (stan Arizona), w Tulsa (stan Oklahoma). Równocześnie jednak należy pamiętać, że ich *miliieux* i wystawy były skrajnie elitarne, egocentryczne, że ignorowały żywotne trendy w innych regionach. Poniżano prace takich malarzy, jak George Longfish, Harry Fonseca i Frank Lapena z Kalifornii, G. Peter Jemison, James Havard czy nieżyjący już Yeffe Kimball z Nowego Jorku, Oscar Howe, Carl Gawboy czy George Morrison z Północnego Zachodu. Należy również podkreślić, że niektórzy malarze z Południowego Wschodu, z północno-zachodniego wybrzeża Oceanu Spokojnego, z Oklahomy i północno-wschodnich terenów zamieszkałych przez Irokezów, którym w przeciwieństwie do absolwentów Instytutu nie dostawało wykształcenia profesjonalnego i menedżerskiego, wykazywali brak motywacji zawodowej, nie zamierzali więc walczyć z elitaryzmem wspomnianych ośrodków w Santa Fe, Los Angeles, Chicago, Nowego Jorku. Nie w tym dziwnego jeśli się zważy, że tradycjonalistą — jak zresztą wielu artystów nieindiańskich — wątpią, czy ambicja jest zaletą. Trzeba pamiętać, że przez długi czas ambicję uważano za element niechłubnego procesu, w którym Indianie ulegali asymilacji i tracili narodową tożsamość.

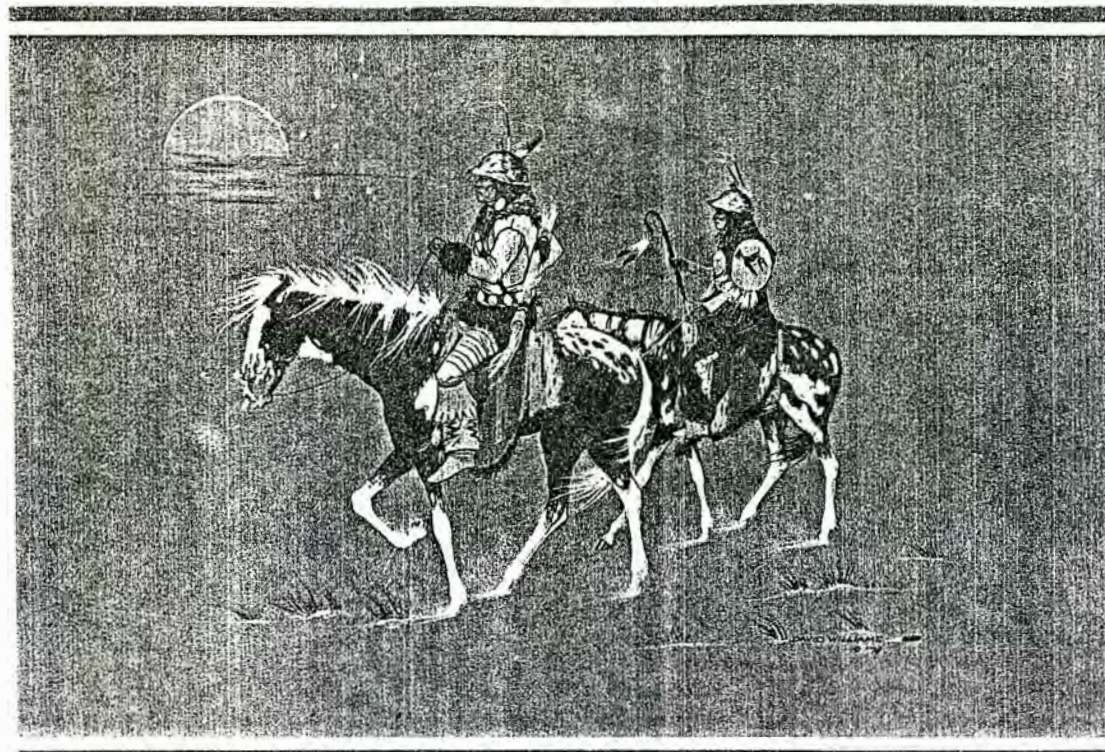
Dopiero w latach siedemdziesiątych młodzież uznała wyższe studia, motywację osobistą i dostęp do curamerykańskiego doświadczenia za czynniki umacniające, a nie osłabiające jej wiekową spuściznę. Ale kwestia nadmiaru czy braku „inicjatywy anglo” bynajmniej nie została rozwiązana. Walka między modernistami i tradycjonalistami trwa nadal, aczkolwiek nieco stonowana ogólnym wyrobieciem stron, a dorożne wystawy malarstwa wywołują burze z powodu zbyt reakcyjnej lub zbyt radykalnej postawy jurorów. Presja przeciwnych wymogów estetyki, wybujała indywidualizm i solidne wykształcenie niektórych artystów przyczyniły się w ostatnim dziesięcioleciu do powstania wielu ognisk niezgody.

Centralną postacią jednego z nich jest niewątpliwie Fritz Scholder, Szoszon z kalifornijskiej misji Luiseno, który dla wielu młodych artystów stał się symbolem estetyki i osiągnięć artystycznych, mimo iż nie jeden konserwatysta uważa go za typowy produkt Instytutu. Scholder jest łatwym celem dla każdego, kto chce wydrwić „groteskowość” sztuki nowoczesnej w ogóle, a współczesnej sztuki indiańskiej w szczególności, kto potępia awangardyzm Instytutu, kto chciałby wskazać palcem artystę nie będącego „prawdziwym” Indianinem z uwagi na zbyt wysoki lot bądź „światowość”. A w gruncie rzeczy jego największą wadą jest sukces. Jest on jednym z niewielu malarzy indiańskich, których główne ośrodki sztuki USA darzą szacunkiem. Jego dzieła zespalały wpływy europejskiego ekspresjonizmu — a zwłaszcza styl Francisza Bacona z domieszką elementów pop-artu — w czyste przesłanie indiańskie, zrozumiałe zarówno dla ziomeków, jak i dla białych, obeznanych z nie iluzjonistycznym kierunkiem sztuki b.w.

Scholder nie jest jedynym absolwentem (i wykładowcą) IAlA, któremu malarstwo indiańskie zawdzięcza rozgłos. Było dwóch równie chwalonych i mniej krytykowanych nowatorów w latach siedemdziesiątych. T.C. Cannon pochodzenia kaddyjsko-kiowowego, który zginął w wypadku samochodowym w wieku 32 lat, był jednym z najzdolniejszych malarzy kształcących się w IAlA. Dał on pionierski wkład w rozwój współczesnego malarstwa, chociaż nie był tak znany i płodny jak Scholder. Drugim wybitnym absolwentem ośrodka w Santa Fe był Oscar Howe, Siuks z yanktonijskiego regionu Dakoty. W latach trzydziestych jeden z pierwotnych adeptów malarstwa w Studio Dorothy Dunn, był on później jednym z pierwszych nauczycieli Scholdera. Howe zdolał przerzucić most między malarstwem indiańskim i głównym nurtem sztuki amerykańskiej. Zdemobilizowany po drugiej wojnie światowej, pozostał on w Europie, gdzie zetknięcie z kubizmem i futuryzmem całkowicie zmieniło jego paletę. Jego wpływ w Ameryce — dość subtelny, gdyż nie był on nigdy postacią kontrowersyjną — był niezwykle rozległy.

Bennie Buffalo, Szczen mieszkający obecnie w swojej rodzinnej Oklahomie, także studiował w





"Wojownicy Wilki"

David Williams

IAIA. Jego błyskotliwa twórczość przechodziła trzy czy cztery etapy, z których ostatni bazuje na fotorealizmie. Buffalo znajduje się pod wyraźnym wpływem poszukiwania formalnych wartości, dominujących w płótnach starszego odcień o dwa pokolenia Oscara Howe. Tenże wpływ widać także w pracach Phyllis Fife i Lindy Lomahafewa — również absolwentek IAIA. Pierwsza, Indianka Kri urodzona w Oklahomie, tworzy delikatne rysunki i obrazy o nieodmiennie poetyckich tytułach i tematach. Druga zaś, pochodzenia hopijsko-czoktawskiego, urodziła się w Phoenix (stan Arizona), w latach 1962-65 studiowała w IAIA, potem przeszła do Instytutu Sztuki w San Francisco, gdzie wielu malarzy indiańskich korzystało ze stypendiów.

Nie wszyscy oczywiście artyści tej grupy etnicznej są produktem Instytutu Sztuki Indian Amerykańskich. Carl Gawboy np., Czipewa urodzony w Cloquet (stan Minnesota), kształcił się na północnym zachodzie kraju. Błyskotliwie aczkolwiek w konwencji konserwatywnej ukazuje on życie współczesnych mu ziomków z rodzinnych stron. Jest pierwszorzędnym akwarelistą o skłonnościach do malarstwa rodzajowego raczej niż modernizmu. Dzieła George'a Morrisona zaś cechuje styl radykalny o dużym ładunku inteligencji. Choć także urodzony w Minnesocie (rezerwat Grand Portage),

Morrison jest zupełnie odmienny od Gawboya. Na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych studiował on w Instytucie Sztuk Pięknych w Minneapolis, poczem pojechał do Nowego Jorku. Był jednym z pierwszych rodzimych artystów, którzy pojawili się w manhattańskim świecie sztuki, a w naszych czasach stał się jednym z najbardziej poważanych twórców stosujących różne środki wyrazu; najchętniej tworzy kolaże ze znajdujących kawałków drewna.

Modernizm artystów indiańskich, tworzących w minionym dziesięcioleciu, jest zjawiskiem bezprecedensowym, bowiem zmiana, jak ją rozumieją ludzie Zachodu, nie istnieje w świecie Indian. Pojęcie zmiany nie jest oczywiście wytworem Zachodu, ale w XIX i XX wieku zmiany w zawrotnym tempie przeniknęły całokształt życia, by stać się w końcu najbardziej charakterystyczną cechą społeczeństw zachodnich. Świadomie wprowadzane — drastyczne, wręcz rewolucyjne — zmiany nie są typowe dla społeczności szczepowych. Próżno szukać Einsteinów, Freudów, Darwinów czy Picassów w świecie Indian. Pewne zmiany oczywiście wśród nich zachodzą, lecz nie wynikają z „postępowej” idei rewolucji. Uprawa roli w prekolumbijskiej Ameryce, podobnie jak powtarzane wprowadzenie konia na półkulę zachodnią przez

Hiszpanów spowodowały w życiu Indian wielkie zmiany o szerokim zasięgu, ale nie stały się one wyzwaniem dla kulturowego *status quo*. Buntowniczość nie jest znana społecznościom szczepowym, których zwarta spójność pozwala na bezpośredni kontakt z własną kulturą i jej pieczętowanie kulturowym i perpetuowanym zwyczajom.

We wszystkich sferach życia indiańskiego obowiązuje harmonia szczepowa. Zachodnie, zindywidualizowane pojęcie „artysty” starającego się o oryginalność autoekspresji było zupełnie nie znane wśród tradycjonalistycznych Indian sprzed lat siedemdziesiątych (podobnie zresztą jak wśród rzemieślników ludów prymitywnych). Praca artysty jest traktowana jako zajęcie równie praktyczne, jak farmera, myśliwego itp. W społeczeństwach, które nie przejęły zachodniego pojęcia sztuki, oryginalność i autoekspresja są traktowane jako wada. Kiedy np. Velino Herrera, Indianin Pueblo z gromady Sja (zamieszkującej północno-zachodni rejon Nowego Meksyku), w latach dwudziestych przedstawił władzom stanowym cykl rysunków słońca — przedmiot kultu jego szczepu — jeden z nich został przyjęty jako herb stanu. Ziomekowie Herrery uznali jego czyn za tak karygodną samowolę, że skazali go na banicję, skonfiskowali jego własność i nigdy nie przyjęli go na powrót do szczepowej wspólnoty. Nie chodziło jedynie o wydanie tajemnicy białemu człowiekowi, głównym grzechem była indywidualna inicjatywa.

Jak już jednak wspominałem, w latach siedemdziesiątych malarze indiańscy „odnaleźli” siebie. Powstało kilka szkół z inicjatywy nowatorskich lub przekornych artystów, którzy odstali lub jawnie odrzucili szczepowe rygory i świętości. Tak np. urodzony w 1942 roku w rezerwacie Hopi (stan Arizona) Lomawyesa (Michael Kabotie) jest jednym z trzech założycieli (i zarazem rzecznikiem) grupy malarzy modernistycznych zwanej się Artyści Hopidzi. Bynajmniej nie kryje się on ze swoim awangardyzmem, zaświadczonej wyraźnym wpływem Picassa w jego pracach. Także w rezerwacie Hopi urodził się Dan Namingha, potomek słynnej garncarki Rachel Nampeyo, dzięki której na przełomie stulecia odżyły klasyczne tradycje garncarstwa Pueblo. Namingha mieszka obecnie w San Juan Pueblo, jednej z najbardziej konserwatywnych wiosek; jego prace — mimo indywidualistycznych ujęć — cechuje tradycyjna ikonografia i obrzędowość.

Wielu malarzy indiańskich, których prace odciśnięte trwały ślad, tworzy w odległych rejonach kraju. Jaune Bystrooka Smith urodziła się w Montanie, w jej żyłach płynie krew Szoszonów i kanadyjskich Kri. Jej prace są wysoko cenione we wszystkich wielkich ośrodkach sztuki; należy ona do pierwszych tubyleznych artystek, których dzieła wystawiały najbardziej renomowane galerie No-

wego Jorku. James Havard pochodzenia czipewsko-czoktawskiego jest również znakomitym artystą. Urodzony w Teksasie i kształcony w nieindiańskich szkołach plastycznych, jest on dziś dobrze znanym artystą nowojorskim, eksponentem tzw. „abstrakcyjnego iluzjonizmu”, wzbudającego spore zainteresowanie. Choćby wykształcenie Havarda warunkował główny nurt sztuki zachodniej, jego tenastyka i styl mają wyraźnie indiański charakter. To samo można powiedzieć o pracach zmarłej Yeffe Kimball, Osedzkiej urodzonej w Oklahomie. Była ona przez wiele lat ambitną organizatorką współczesnej twórczości indiańskiej. Jej prace były asertywne, zawierały przesłania w bardzo osobistym, wzruszającym stylu. Zmarła w kwietniu 1978 mając za sobą długą karierę w Nowym Jorku.

W Nowym Jorku mieszka także pochodzący ze szczepu Seneków G. Peter Jemison, urodzony w Silver Creek w stanie Nowy Jork. Bardzo utalentowany malarz o wyrazistym stylu, jest on obecnie kustoszem galerii American Art Community House na Manhattanie. Równie wyrazistym stylem charakteryzuje się R.C. Gorman — jeden z wielkich oryginałów wśród artystów indiańskich. Urodzony w rezerwacie Nawahów, wykształcony przez meksykańskich muralistów i swego słynnego ojca (Carla Gormana), ma on za sobą długą i wspólną karierę. Jego prace ostatniego okresu, stanowiące duże acz miłe widziane odstępstwo od poprawnych choć monotonna wizerunków siedzących kobiet, tchną abstrakcyjną iluzorycznością, bardzo chwaloną w kołach artystycznych. Mimo rebelianctwa, żaden z tych wysoce indywidualnych malarzy nie odrzuca ani nie usiłuje uciec od indiańskiego świata. Przeciwnie, ich obrazy świadczą, iż są to ludzie bardzo tradycyjni, zaprzątnięci problemami rodzinnej kultury. Dają wyraz przeświadczeniu, że malarstwo ich inspirują wizje, objawienia i będące udziałem każdego z nich bezosobowe moce, czyli to, co składa się na ekwipunek indiańskiej mentalności i doświadczenia. Różnica między współczesnymi artystami a dawniejszymi twórcami rzemiosła artystycznego polega na tym, że dzisiejszy artysta uparczywie stara się przekazać jednostkową wizję rzeczywistości — z aprobatą szczepu czy bez — ponieważ chce utwierdzić swoją indiańską indywidualność w niepowtarzalnych, ściśle osobistych kategoriach.

Po raz pierwszy amerykańscy Indianie wydają intelektualistów, polityków i artystów, którzy zyskują na poraniu się z zachodnią mentalnością. Indianie artyści ostatniego dziesięciolecia wnieśli ogromny wkład w wykrystalizowanie nie tylko XX-wiecznego pojęcia istoty indiaństwa. Ich sztuka daje świadectwo indiańskiej indywidualności rdzennego Amerykanina.



JOSEPH BRUCHAC

# BIAŁY ŁOŚ

Płynąc wzdłuż brzegu podługznego jeziora, zanurzał wiosło szybkim, płytkimi pociągnięciami wzorem dawnych Indian Kri. Choć nosił francuskie nazwisko, jego twarz zdradzała innych przodków, urodzonych tutaj, w lasach Północy. Jezioro było gładkie jak tafle szkła, które oglądał kiedyś w oknach Quebecu. Odbijały się w nim nieliczne obłoki na wiosennym niebie, nadbrzeżne świerki ... i dziwnie białe kształty, drgające pod dotknięciem fali i poruszające się jak mgła niesiona wiatrem.

Jean Maurice uniósł powoli głowę, by odszukać go kątem oka. Śnieżnobiały cielak łosia. A obok duży ciemny kształt kłopy. Wiosłem zatrzymał kanu i powoli zawrócił łódkę. Ruch liścia poruszonego falą. Teraz widział oba zwierzęta. Ku jego zdumieniu patrzyły prosto na niego, jakby go oczekiwały.

Wiedział, że człowiek może stosunkowo łatwo zaskoczyć łosia od strony wody, ale spoglądać mu w oczy w taki sposób?

Słyszał, że tak właśnie jest z albinosami. Razem z naturalną barwą pozbywają się strachu. Jakby chroniona niezwykle śmiałością młodego, stała i łosza. Jej szczęki poruszały się wolno, żując rośliny, które właśnie wyciągnęła z jeziora. Był tak blisko, że słyszał, jak je i jak z karku kapia jej krople wody.

Wtedy cielak odwrócił się od niego i zaczął ssać matkę. Kłepa uniosła wzrok nad człowiekiem, jakby coś za nim dostrzegła. Mężczyzna obejrzał się przez ramię, ale zobaczył tylko drugi brzeg podługznego jeziora.

Tydzień później napisał telegram. Napisał go w jednej z tych chwil, kiedy cisza w chacie i puste krzesła wydawały mu się nie do zniesienia. Układał go powoli, litera po literze, dla Muzeum.

*znalezłem białego łosia. cielak jeszcze przy matce. czy chcecie skórę do wypchania?*

Jego depesza powędrowała najpierw do Quebecu, a stamtąd odbyła dłuższą i szybszą podróż w głąb kontynentu. List przeczytał specjalista od wypchania. Mężczyzna pracował już dawniej dla niego. Okazy przysyłał zawsze w dobrym stanie. Teraz szansa na białego łosza. Dobry eksponat. A co dopiero dojrzały byk - albinos? Preparator uśmiechnął się. Żadne muzeum na świecie nie miało takiego okazu! Starannie zredagował odpowiedź.

*zapłacimy najwyższą cenę za białego łosia gdy będzie dojrzałym bykiem. zawiadomić kiedy taki będzie. nie zabijać póki nie dorosnie.*

Jak większość myśliwych i traperów żyjących na Północy - zarówno Indian, jak i białych - Jean Maurice wiedział o zwierzętach więcej, niż wszyscy ci mieszkający gdzieś daleko ludzie, którzy utrzymywali się z pisanja i nauczania o nich. Celem ich studiów były jedynie pieniądze, uznanie i dobra opinia. Celem jego studiów, rozpoczętych kiedy jako mały chłopiec brnął po śladach śnieżnych rąk ojca, było życie.

Życie Jeana Maurice'a nie było łatwe, choć kiedyś nie wybrałby innego. Nie powiedziałby, że KOCHA to życie. Ci, którzy tyle mówili i pisali o UMIŁOWANIU puszczy, nie byli jej częścią. Mówić o UMIŁOWANIU lasów, to tak jakby mówić o kochaniu samego siebie, bo lasy były częścią Jeana Maurice'a - podobnie jak ciemny kolor jego oczu i siła jego ramion. A po co mówić o kochaniu samego siebie, co? Właśnie tak mógłby powiedzieć. Ale nie był człowiekiem, który dużo mówi. Teraz, odkąd cztery wiosny temu wywróciło się kanu, w ogóle rzadko mówił.

Biały łoszak stał, głową sięgając teraz barku wysokiej matki. Jean Maurice widział nabrzmiały brzuch łoszy. Wkrótce powinna mieć nowe cielę, osiem miesięcy po jesiennym bukowisku, kiedy miłosne postępowania byków rozbrzmiewały po lasach a wielkie rogi ścierały się w walce o samice. Ten biały młodzik widział to, stojąc nieopodal parzącej się matki, powracając do niej po skończonej rui, trzymając się u jej boku zimą, gdy usuwała śnieg, by mógł się pożywić i gdy broniła go przed wilkami. Wkrótce jednak miał nadejść czas narodzin nowego. Wtedy matka odpędzi dziwnego cielaka o barwie zimy.



Ciełarna łosza i jej roczniak znikli w zaroślach wierzbiny; Jean Maurice podał im za nimi. Obserwował, jak rodziły się bliźnięta. Wilki przyszły i wzięły mniejsze z nich, zanim matka zdolała je odpędzić. Wokół białego roczniaka wilki kroczyły sztywno, nie dotykając go, ani nie patrząc na niego. Białe łosze nie próbowały uciekać przed tymi, których oczy niosą śmierć - te wilcze oczy, które - gdy jesteś zwierzęciem zdany na ich łaskę - stają się tak niezwykle miękkie i jasne.

Jean Maurice znał to, ten moment pomiędzy wilkami i ich ofiarą, kiedy wydawało się, że coś przemyka między ich oczyma. Wtedy następowało coś w rodzaju porozumienia i polowanie było skrócone. Pamiętał starego łosza o jednym, przycmionym i ślepym oku. Stał spokojnie. Nie biegał, jak inne. Wilki także się zatrzymały. Łosz skłonił głowę, nosem dotykając niemal wielkiego szarego wilka, który podszedł do niego - prawie jak pies, który z podniesionym ogonem podchodzi do pana. Stały tak przez chwilę, wpatrzone w siebie. Potem łosz został powalony i całe stado rzuciło się na niego.

W dniach, kiedy po wypadku Jean Maurice włóczył się po lasach, myślał sobie, że taka śmierć nie byłaby złą. Lepsza, niż utopienie się w zimnej wodzie. Widział zanurzające się głowy żony i syna. Zastanawiał się, dlaczego on został wyrzucony na brzeg, skąd miał tyle siły w kończynach, aby się wydobyć z lodowatych objęć wody, w której żaden człowiek nie przeżyłby więcej, niż kilka uderzeń serca. Zastanawiał się, dlaczego słońce tak ogrzewało ten brzeg, topiąc lód w jego żyłach. Zastanawiał się, dlaczego był on, a nie tych dwoje, których odnalazł w dole strumienia. Tam ich pogrzebał, usypując wysoki kopiec z wielu kamieni, aby powstrzymać borsuki i zostawiając swój woreczek z tytoniem wiszący z kija wciśniętego między kamienie. Któregoś dnia Jean Maurice postanowił, że umrze jak łosz. Nie będzie szukał śmierci, ale kiedy ta nadejdzie, będzie patrzył w niepomąganą życzliwość jej oczu.

Wilki unikały wzroku białego łosza, choć wydawało się, że ten je ignoruje. Człowiek zastanawiał się, czy był taki, jak inny albinos, którego kiedyś widział - chudy szop o różowych, prawie oślepiłych oczach, jakiego odnalazł martwego pod drzewem. Ale nie, biały łosz był inny. Miał ciemne oczy. Widział i słyszał równie dobrze, jak inne zwierzęta. Sprawiał jednak wrażenie, że niczego się nie boi. Tak, jakby był wolny od praw naturalnego świata, według których musiały żyć pozostałe zwierzęta - wolny od nich, lub ponad nimi.

Jesienią nadeszła kolejna wiadomość. Człowiek z Muzeum zmienił zdanie. Obawiał się utraty trofeum. Telegram brzmiał:

*jeśli to możliwe, upolować białego łosza teraz.*

Jean Maurice jeszcze raz przeczytał depeszę i wrzucił ją do płonącego przed nim ogniska. Niżej, w dolinie, widział biel młodego byka, którego pierwsze poroże traciło właśnie aksamitną osłonkę. Brodził w bobrowym rozlewisku, zanurzając głowę w poszukiwaniu lilii i maranty. Wysłał już odpowiedź:

*nie mogę teraz odnaleźć.*

- Najpierw dorośnij - powiedział Jean Maurice i, zgasiwszy ogień, zszedł po porośniętym sosnami zboczku.

Minęły cztery lata. Każdej jesieni przychodziły depesze od człowieka z Muzeum. Raz nawet przysłano z Chicago człowieka, żeby pomógł odszukać białego łosza. Jean Maurice powiódł go daleko na zachód od miejsca, gdzie pał się biały. Obiecał go upolować, kiedy całkiem dorośnie. Dotrzyma słowa. Ale postara się, by nikt inny tego nie zrobił i aby on sam tego nie uczynił, zanim nie nadejdzie właściwa pora. Człowiek z Chicago powrócił do Muzeum z wieloma trofeami o ciemnej sierści i z obietnicą, że Jean Maurice upoluje łosza, białego łosza, kiedy tylko będzie to możliwe.

Cztery lata. Nadszedł czas, kiedy czerwona krew Wielkiej Niedźwiedzicy spływała z nieba, gdzie każdej jesieni zabijali ją Niebiańscy Myśliwi. Liście drzew były szkarłatne od jej krwi. Aksamit zniknął z poroży byków a wierzbowe zarosła i kępy świarków nosiły ślady ich rogów i kopyt. Jean Maurice szedł ostrożnie przez puszcę, mijając polany, na których byki rozgrzebywały ziemię i znaczyły ją moczem, żeby zwabić kłepy. Widział też ślady wilczych stad.

Jean Maurice znał porę cielenia się, kiedy kłepy odchodzą w wierzbowe zarosła, żeby urodzić młode. Była to też pora obfitości dla wilczych stad. Szły w ślad za łosiami, wyczekując na zwierzęta słabe, wyczerpane albo złożone chorobą. Wilki nigdy nie sięgały po najzdrowsze.

Stary lud Jeana Maurice'a, jak jego brat wilk, wybierał tylko niektóre sztuki. Latem zabito by silną, młodą łoszę bez cielaka wiedząc, że jest bezpłodna i nie kontynuuje cyklu. Tak było słusznie. Wiedzieli, które zwierzę zabić. Ludzie z miast pisali o Kri: "Życie tych leśnych myśliwych jest pełne ryzyka. Nie zawsze znajdują zwierzynę. Ich życie to tydzień obżarstwa i tydzień głodu".

- Jutro - powiedziałby wuj Jeana Maurice'a - zabijemy tę łoszę między widlastym jeziorem a szarym szczytem. Upolujemy ją, kiedy słońce będzie cztery dionie nad zachodnim krańcem świata.

Jean Maurice próbował to kiedyś wyjaśnić człowiekowi z miasta, któremu służył za przewodnika. Dla Kri było to niczym pójście do sklepu dla mieszkańców miasta. I tak, jak mieszkańcy miasta wiedzieli, co można kupić w sklepach, tak Kri wiedzieli, co znajduje się w lasach. Ich myśliwskie umiejętności były jak pieniądze, za które ludzie z miasta kupowali towary. A co z ryzykiem, z niebezpieczeństwami życia w puszczy? Och, czy nie brakowało tego i w miastach? Jean Maurice widział jak szybko jeżdżą samochody w Quebecu. Były niebezpieczne i czasami zabijały ludzi. A czy w Chicago nie było ich jeszcze więcej? Czy nie było to miejsce, gdzie - jak słyszał, choć nie wiedział czy to prawda - wielu mężczyzn nosiło karabiny takie, jak te używane podczas Wielkiej Wojny? Mężczyzn, którzy zabijali się na ulicach z powodu hazardu i nielegalnego wyrobu alkoholu? Jak można przetrwać w tak niebezpiecznym miejscu? W lasach znało się niebezpieczeństwa: mogła nadejść burza, wiatr mógł obalić uschnięte drzewo (i dlatego nigdy nie obozowało się koło martwego drzewa), mogło wyrzucić się kanu. Ów człowiek nie dał się przekonać. Następnej wiosny wywróciło się kanu Jeana Maurice'a, wiozące jego żonę i dziecko.

Z listem z Muzeum na dnie tobołka, Jean Maurice drugi już rok podążał za łoszą i białym. Zbliżał się czas, gdy brzemienne samice kryły się wśród wierzbowych zarosli. Ich młode, choć ważyły nie więcej niż jego tobołek, szybko stawały na chwiejnych nogach gotowe biec, kiedy tylko ich matki wyliżą łóżysko. Od czasu do czasu widywał ślady wilków. Pamiętał opowieść dziadka.

Dawno temu, powiedział starzec, wilki odkryły, że łosie podczas porodu stanowią łatwą zdobycz. Stada mogły iść śladem łoszy aż do momentu, gdy nadchodził jej czas, a wtedy upolować i matkę, i młode. Niegroźne były wtedy kopyta łoszy, które kiedy indziej mogły okaleczyć lub zabić.

Opiekun Zwierzyny zobaczył, że to niesprawiedliwe. Opiekun Zwierzyny nie był zwierzęciem, chociaż pojawiał się w tej postaci, biały jak świeży śnieg. Był duchem, częścią Wielkiego Manitou, potężnej istoty ukazującej się w zwierzęcej postaci. Zwołał on wszystkie łosie.

- Dzieci - powiedział Opiekun Zwierzyny - zobaczylem jak wam ciężko. Pragnę, abyście wy, wasze dzieci i wnuki przetrwali na ziemi. Kiedy dajecie życie młodym, przez czas jakiś jesteście słabe i bezbronne. To wtedy, zgodnie ze swoim prawem, polują na was wilki. Nie mogę ich odpędzić. Dobrze, że polują na słabych i chorych. Ci, którzy przetrwają, będą silniejsi. Będzie mniej chorób. Ale wilkom jest teraz zbyt łatwo. Dlatego trzeba to zmienić. Odtąd będzie jak powiem. W miesiącu, gdy pęcznieją paki, gdy topnieje śnieg i śpią wają moczary, wszystkie samice pójdą w wierzbowe zarosła. Tam wszystkie urodzą w czasie kilku wschodów i zachodów słońca. Będzie was tak wiele bezbronnych i słabych, że nie da się zabić wszystkich. Najpierw padną najsłabsze. Kiedy wilki najedzą się do syta, staną się leniwe i przez czas jakiś nie będą polować. Wtedy odzyskacie siły. Wasze młode nauczą się biegać. W ten sposób przetrwają zarówno łosie, jak i wilki, a równowaga zostanie zachowana.



Zbierały się, aby polować na najbardziej wyczerpane byki. Ich ofiarą padłyby te, których ciała ociekały potem, nogi drżały z wyczerpania walką, niektóre z wielkimi ranami od rogów i kopyt silniejszych byków. Taka śmierć byłaby szybsza i lżejsza, niż powolne słabnięcie zimą po walkach, które wyczerpywały zapasy tłuszczu, a pozostawiały ropiejące rany. Wokół miejsc pojedynków wszędzie widać było połamane drzewka i zarośla zdeptane przez zderzające się i przepychające wielkie zwierzęta, z których każde miało w kłębie siedem stóp i ważyło ponad pół tony. Głos zderzających się poroży brzmiał w dzicy niczym dźwięk pradawnej muzyki, jak rodowa pieśń. Kiedy zakończy się pora bukowiska, będzie mniej byków. Po zimie zostanie nie więcej, niż po jednym na każde dwie kłepy, przyszłoroczne matki, noszące w swych łonach nadzieję na przyszłość, zachowanie równowagi i kontynuację cyklu.

Jean Maurice wyciągnął kanu z kryjówki w olszynie. Wsiadł do niego i szybkim ruchem odepchnął się od brzegu. W dłoni trzymał róg z kory brzoźowej. Wiedział, że mógł pójść i odszukać białego, ale właśnie tak należało to zrobić. Jeśli przyjdzie na wezwanie, to będzie wiedział, że już czas.

Pozwolił kanu nieść się przez chwilę po wodzie, czując dookoła spokój martwego powietrza. Wiatr, zanim uciął, wiał mu w twarz. Spojrzał w stronę brzegu, uniósł brzoźowy stożek do ust i zaczął, z początku miękko.

"Mu-uau-uh" - zawołał, naśladowując głos kłepy oczekującej partnera. "Mu-uau-uh". Nawoływał przez dłuższy czas, za każdym razem głośniejsz, aż nieruchome powietrze nad jeziorem wypełniło się tym dźwiękiem. "MU-UAU-UH".

Zapewne nadchodził teraz z sąsiedniej doliny. Szedł nad to jezioro, w którym - jak Jean Maurice pamiętał - zanurzał głowę w poszukiwaniu wodorostów. Światło dnia przygasło. Przerwał i słuchał. Coś się zbliżało ku brzegowi jeziora. Zarośla rozchyliły się i wyrzucił z nich biały łos. Spoglądał mu w oczy tak, jak tamtego pierwszego dnia. Na lewym barku siedział mu ptak. Broda białego łosia była długa i gęsta. Rogi miał tak rozłożyste i wyważone, jak żadne z tych, które dotąd widział. Jean Maurice uniósł broń.

- Robię, jak obiecałem - powiedział.

Okaz nadszedł do Muzeum w doskonałym stanie. Preparator był więcej niż zadowolony. Od jakiegoś czasu nie był pewien mężczyzny. Teraz polecił sekretarce pobrać pieniądze i przesłać je telegraficznie do Quebecu.

Rozłożył skórę na stole. Mieszaniec spisał się dobrze, ściągając ją czysto i solar. OBCHODZIĆ SIĘ OSTROŻNIE - napisano na skrzyni i przez całą podróż obchodzono się z nią ostrożnie, pomimo rozmaitych wypadków. Łódź, która niosła ją w dół rzeki, zatoniła, ale skrzynię zmyło na brzeg. Wiozący ją pociąg najpierw stanął w płomieniach, a potem się wykoleił. Ciężarówka, która zabrała ją ze stacji, w drodze przez miasto do muzeum miała wypadek.

Teraz jednak była tutaj. Doskonale nadawała się na model naturalnej wielkości. Była, jak widział, ogromna. Jedna z największych, jakie widziano do tej pory. Szkielet miał już przygotowany, ale było oczywiste, że trzeba będzie rozbudować barki i pogrubić kark. Wyjął nóż i zaczął obcinać nieelastyczne skrawki mięsa na brzegu skóry. I wtedy nóż podskoczył mu w dłoni, jakby miał własny rozum. Chwycił go i natychmiast puścił. - Cholera! - mruknął. Krwawił. Niewielkie nacięcie. Ale krwawienie nie ustawało. Dłoń pulsowała. Owinął ją chustką i patrzył, jak czerwienieje. Scisnął mocniej nadgarstek. Z uczuciem lekkości w głowie i narastającym szumem w uszach ruszył ku drzwiom.

- Panno Keely, proszę mi pomóc! - zawołał. Żadnej odpowiedzi z tamtej strony drzwi - bliedszych teraz i dalszych.

- Białe zwierzęta - mówił dyrektor - obdarzone są przez ludzi przesadnie wszelkiego rodzaju szczególnymi znaczeniami, związanymi, na przykład, z groźnymi siłami zimy, lub z wrodzoną pamięcią okresów lodowcowych. Wie pan, niektórzy twierdzą nawet, że biel w umysłach prymitywnych wiąże się z pewną czystością. Interesujący przesąd.

- Jak Dziewica Maria w waszych katolickich kazaniach? - zapytał gość.

- Och! - zachnął się dyrektor. Szedł dalej wzdłuż hallu, prowadząc szczupłego mężczyznę o ciemnych włosach. - Ale oto sala, w której go przygotowujemy. Zobacz pan, co mam na myśli.

Otworzył drzwi. W preparatorni mężczyzna i kobieta pracowali nad olbrzymim zwierzęciem, tak białym, że wyglądało jak ulepione ze śniegu. Czesali sierść, barwili nozdrza, przywiązywali sznurkiem uszy, aby zasuszyły się w odpowiednim położeniu i dokonywali przy modelu ostatnich poprawek.

- Wilsonowie - powiedział dyrektor - Sprowadzono ich po Conroy - może pan słyszał. Biedny człowiek. Najpierw się zaciął i prawie wykrwawił na śmierć, a potem nie wiedział, że złapał zakażenie. To musiało być od noża. Nie wrócił już nigdy do pracy, choć to było jego dziecko. Na szczęście Wilsonowie byli pod ręką.

Uśmiechnął się do mężczyzny i kobiety, którzy ukłonili się i również uśmiechnęli. Głowa białego łosia wznosiła się nad nimi tak, jakby wsłuchiwała się w coś bardzo odległego. Jego oczy były ciemne i błyszczące.

- Więc jak, panie Prey - zapytał dyrektor - pan jest z pochodzenia Indianinem, Ottawą, prawda? Czy mógłby pan nam namalować nam odpowiednie tło dla tego naszego Wielkiego Białego Ducha Zwierzyny?

Odpowiedzi nie było. Dyrektor odwrócił się w porę, aby zobaczyć rękę mężczyzny zamykającego za sobą drzwi.

Wilsonowie skończyli pracę późnym popołudniem. Dyrektor odprowadził ich do drzwi i uściśnął dłonie, zanim wyszli.

- Cholerny dziwak - powiedział do siebie. - Myślałem, że szuka pracy.

Obserwując, jak para preparatorów idzie aleją, otworzył usta do krzyku. Zanim głos wydobył mu się z gardła, był już tylko cichym, zdławionym jękiem. Gzys, który oderwał się od budynku, już spadł. Dyrektor, napinając pierś i wstrzymując oddech, pobiegł ulicą. Wypuścił powietrze dopiero, gdy ujrzał, że gzys spadł nie na nich, ale tuż obok. Opierali się o budynek. Żywi. Ale cegły upadły z taką siłą, że eksplodowały jak pocisk. Wilson trzymał żonę w ramionach, a dyrektor zauważył, że oboje krwawili z głębokich ran na rękach.

Wreszcie otwarto wystawę. Ale nie cieszyła się spodziewaną w muzeum popularnością. Ludzie wyglądali na mało zainteresowanych... skrzępowanych. Dzieci nie chciały zostawać w sali. Patrzyło na nie wielkie zwierzę. Niektóre twierdziły, że się rusza. Kiedy pożar ogarnął hall wystawowy, dyrektor z uczuciem ulgi spojrzął na zgłiszczoną i zobaczył białego łosia leżącego na boku, osmalonego dymem.

- Nie, nie będziemy go już restaurować.

W lasy Północy powróciła wiosna. Jean Maurice wiosłował w swoim kanu szlakiem, który przemierzał już wielokrotnie. Nie była to dobra zima. Znowu stracił kanu, a razem z nim cały zimowy zapas futer i broń. Nie było go w łodzi, gdy oderwała się od brzegu, jak żywa. Złamał mu się dobry, myśliwski nóż, a pożar strawił mu chatę.

W głębi duszy wiedział. To z powodu białego. Ale dlaczego jemu samemu nic się nie stało? Dlaczego tracił tylko RZECZY? Bo siebie już zgubił. Myślał o tym wiele dni. Wypadki nie powtórzyły się więcej.

Straty w dobytku mógł łatwo wyrównać dzięki pieniądзом z muzeum. Czek był spory. Podarował go małemu kościołowi katolickiemu w miasteczku na skraju puszczy. Już nigdy więcej muzeów.

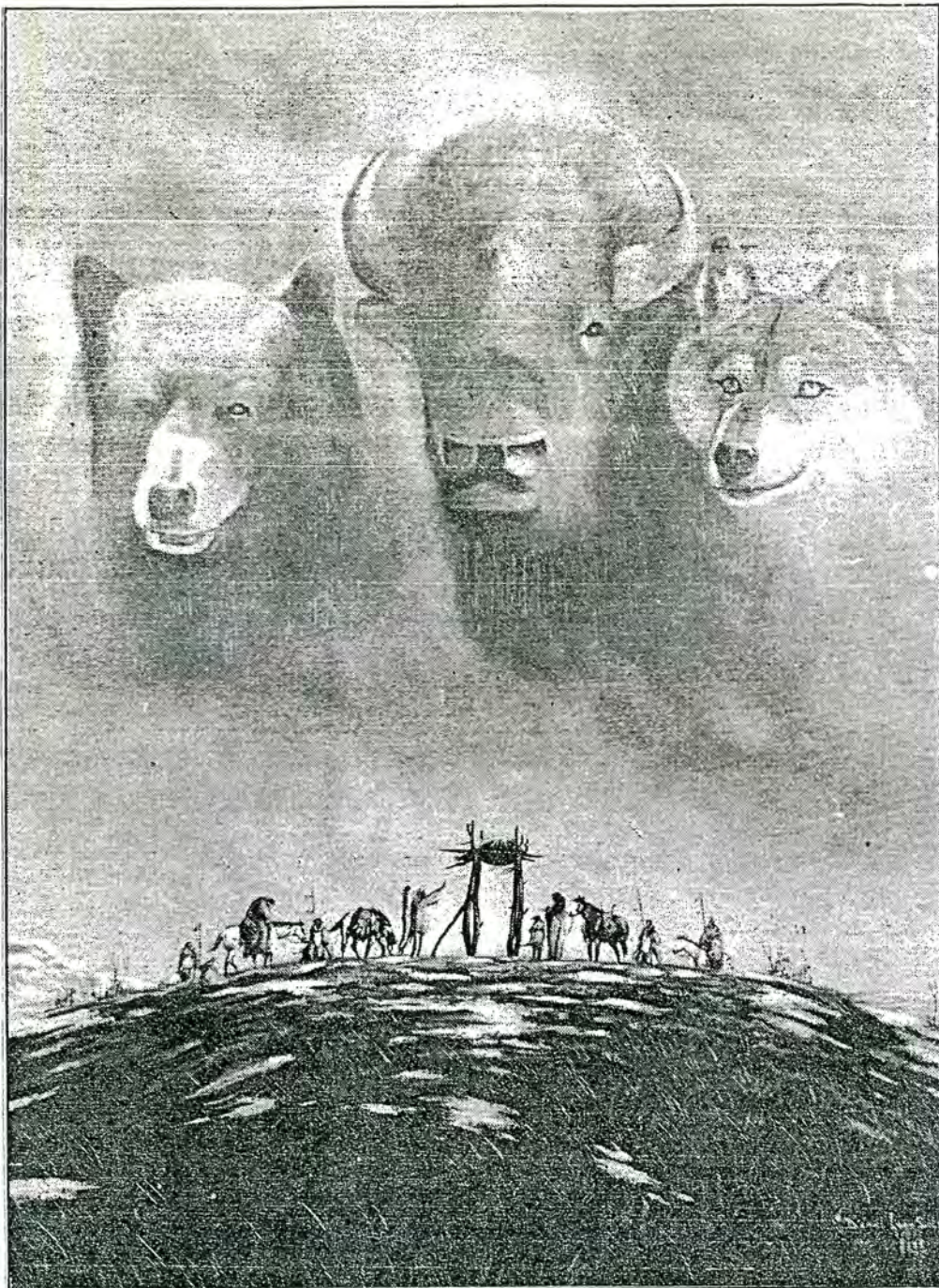
Zanurzał wiosło w spokojnej wodzie, sunąc wzdłuż brzegu jeziora ku blademu odbiciu. Patrzył. Tam na brzegu stała łosza z białym cielakiem. Spoglądały na niego niewiarygodnie szcyr, niefrasobliwe i mądre.

Jean Maurice uśmiechnął się. - Żyj długo, Braciszku - powiedział - i czując w sercu przypływ siły i dobroci, powiosłował dalej wzdłuż brzegu.

przełożyli: M. Maciołek i M. Nowocień

przedruk z "W DRODZE" nr 5 (201) 1990





"Duchowy Świat"

Daniel Long Soldier

TAWACIN PRZEDSTAWIA:

# BIG MOUNTAIN AKTIONSGRUPPE e.V. – R.F.N.

Grupa Działania na Rzecz Big Mountain jest powstała w 1986 r. organizacja popierająca indiańskie narody Ameryki Północnej, które wciąż oczekują uznania jako niezależne suwerenne narody.

Wspólny cel zachowania zasobów naturalnych i ochrony środowiska łączy ludzi na całym świecie. W obliczu globalnych przemian pilnie niezbędna jest aktywna współpraca na rzecz obrony praw człowieka i ochrony środowiska.

Big Mountain Aktionsgruppe e.V. popiera dialog między zaangażowanymi ludźmi, instytucjami, przedsiębiorstwami i urzędnikami rządowymi, którzy kierują naszym życiem lub mają na nie wpływ – mając nadzieję na poprawę sytuacji tubylczych narodów Ameryki Północnej. Naszym głównym celem jest doprowadzenie do uznania suwerenności tych ludów.

Za ważną część naszej pracy uważamy finansowe wspieranie projektów organizowanych i zarządzanych przez Indian w celu zachowania ich kulturowej tożsamości i ekonomicznej autonomii. Dlatego odrzucamy plany urzędników z Waszyngtonu, którzy nie kierują się interesami tubylców, lecz pragną podtrzymać uzależnienie Indian od pomocy społecznej. Indianie mają prawo do samodzielnego decydowania o własnym życiu.

W kraju i zagranicą członkowie naszej organizacji analizują sytuację, wykorzystując własne możliwości i środki finansowe, oraz uczestniczą w takich akcjach, jak blokada ziem Lubicon Kri w 1988 r., czy demonstracja na poligonie jądrowym w Newadzie w 1989 r.

Opinię publiczną informujemy o sytuacji północnoamerykańskich Indian poprzez przemówienia, odczyty, seminaria i wydawanie kwartalnika "COYOTE". We współpracy z organizacjami tubylczymi przygotowujemy kampanie informacyjne w celu wywarcia politycznego nacisku na odpowiednich polityków (np. akcja "Zostawcie uran Ziemi" w 1988 r.).

Uważamy się za organizację polityczną, ale polityka i kultura są nierozdzielne. Dlatego uczestniczymy w wystawach i imprezach popierających zrozumienie i szacunek dla tubylczej kultury.

Nasze cele są globalne – i taka jest nasza działalność. Zawsze podkreślaliśmy znaczenie międzynarodowej współpracy i dlatego uczestniczyliśmy w spotkaniach ONZ poświęconych gwarancjom praw człowieka i tubylczej tożsamości.



Big Mountain Aktionsgruppe e.V.

c/o Seiller

Franziskanerstr. 35

8000 München 80

tel. +49/89/4489358

fax +49/89/484439

Na podstawie "COYOTE" (Reader to the 6th EMNAISG 1990) opracował CIEN.



## VI EUROPEJSKA KONFERENCJA GRUP POPARCIA INDIAN AMERYKI PÓŁNOCNEJ

24-27 LIPCA 1990, GELBENHOLZEN KOŁO MONACHIUM, RFN

Do Monachium wybierała się liczniejsza reprezentacja od tej, która wzięła udział w V Konferencji w Zurichu (zob. TAWACIN nr 12). Jednak trudności, przede wszystkim z uzyskaniem wiz, spowodowały, że tylko ja sam miałem przywilej spędzenia kilku dni we wspólnym towarzystwie europejskich przyjaciół Indian, jak i samych Indian.

Na drogę zostałem wyposażony w kilkadziesiąt "biegowych" koszulek i niemały plik papierów z informacjami dotyczącymi przygotowań do "Sacred Run" w Polsce, które Roman przygotowywał całą noc i przedpołudnie, a które ja miałem przekazać europejskim koordynatorom Biegu. W monachijskim pociągu Marek dołożył mi kolejne koszulki oraz przekazał dalsze instrukcje, i tak zaopatrzony odbyłem 22-godzinną podróż do stolicy Bawarii.

Aby dotrzeć na miejsce Konferencji, musiałem zdobyć się na duży wysiłek. Powodem były koszulki. Jako, że nie należę do Goliatów, miałem pewne problemy z doniesieniem ich. Gdy już dotarłem do *Haus für Jugendarbeit* ze zdziwieniem stwierdziłem, że jestem.. pierwszy.

Impreza zorganizowana została z iście niemiecką pedanterią. Nad całością czuwało kilkanaście osób z BIG MOUNTAIN AKTIONSGRUPPE, gotowych z uśmiechem na twarzy spieszyć z pomocą każdemu z około stu uczestników, którzy mieli do dyspozycji takie udogodnienia, jak kserograf, komputer, czy maszyna do pisania. Część gości zakwaterowana była w pokojach na piętrze, a część - w namiotach na podwórku. Posiłki serwowano w stołówce znajdującej się w tym samym budynku, w którym odbywała się większość imprez.

W czasie trwania Konferencji, przedstawiciele różnych organizacji oferowali czasopisma, koszulki, nalepki i wiele innych pamiątek. Ja również starałem się sprzedawać nasze koszulki i znaczki.

Indianie zaproszeni przez gospodarzy opowiadali, z jakimi problemami borykają się ich współplemięnczy, jakie trudności muszą pokonać, aby utrzymać swoją kulturową tożsamość. Jednak wszystkie te sprawy nie sposób było ogarnąć, gdyż najczęściej równolegle odbywały się po trzy spotkania robocze, poświęcone różnym tematom. Sprawozdania i wnioski z tych spotkań przedstawiano następnie na sesjach plenarnych, gdzie przyjmowano również rezolucje. Wieczorami można było obejrzeć slajdy i filmy dokumentalne (m.in. o indiańskich więźniach politycznych, o bezprawnym wycinaniu lasów na terenach Indian w północnej Kanadzie) oraz fabularne ("Pow-wow Highway"). Oprócz tego, w centrum Monachium odbyła się konferencja prasowa i spotkanie z mieszkańcami miasta, podczas którego Indianie wyjaśniali monachijszykom swoją sytuację społeczno-polityczną. W Monachium miałem również możliwość wzięcia udziału w demonstracji przed konsulem Kanady, której przewodniczył Mohawk Kenneth Deer, a podczas której Tom LaBlanc wystąpił w tradycyjnym stroju, wzbudzając duże zainteresowanie przechodniów.

Sprawy, które omawiano na Konferencji to między innymi:

- INNU - Govert de Groot z Holandii przy pomocy slajdów i map przedstawił sytuację kanadyjskich Innu (Eskimosów), zwracając szczególną uwagę na szkody powodowane na ziemiach tubylczych przez latające na niskich wysokościach samoloty (zob. TAWACIN nr 14);
- LUBICON - Bernard Ominayak, przywódca Indian Kri znad jez. Lubicon w Albercie, oraz Fred Lennarson, prawnik, opowiadali o staraniach podjętych przez Indian Kri w celu odzyskania obszaru o powierzchni ok. 10000 km<sup>2</sup>, którego nigdy nie scedowali na rzecz Kanady (T - 6);
- KRI znad Zatoki Jamesa - Władze planują budowę kompleksu elektrowni wodnych na terenach Indian. Budowa ta stanowi zagrożenie dla zwierząt, od których zależni są miejscowi Indianie. Sprawę tę wyjaśniał wódz Matthew Mukash, przedstawiciel Wielkiej Rady Kri z Quebecu;

- BIG MOUNTAIN - Betty Tso z plemienia Nawahów mówiła o ludobójczym wysiedlaniu współplemięnców, które - mimo protestów - trwa (T - 7);
- MOHAWKOWIE - Wydarzenia, jakie miały miejsce w rezerwach Kahnawake i Kanesatake znamy częściowo z massmediów. Na Konferencji mówił o nich przedstawiciel narodu Mohawków, Kenneth Deer.

ACRED RUN - Tom LaBlanc zaprezentował slajdy z poprzednich biegów, poczyn przedstawiciele krajów leżących na trasie Świętego Biegu mówili o przygotowaniach do tego wydarzenia.

Omówionych zostało jeszcze wiele innych spraw, takich jak: próby z bronią jądrową na terenach Zachodnich Szoszonów (T - 12), wydobywanie uranu w prowincji Saskatchewan, walka o odzyskanie Czarnych Gór (T - 9), czy sytuacja Czipewejów z Wisconsinu (konflikt wokół ich prawa do łowienia ryb - Red.). Na wszystkich tych spotkaniach Indianie podkreślali, jak bardzo ważne jest poparcie ludzi z Europy dla spraw, o które walczą.

Dużo miejsca poświęcono przygotowaniom do obchodów 500-lecia kolonizacji Ameryki. Przedstawiciele wielu krajów europejskich zaprezentowali już konkretne plany związane z tą rocznicą.

Spośród indiańskich gości największe wrażenie wywarł na mnie Thomas Banyacya, wiekowy rzecznik tradycyjnych Indian Hopi, który opowiadał o prorocztwach swoich przodków. Celebrował on uroczystość religijną, podczas której m.in. modlił się w języku Hopiów o pokój na ziemi. W czasie tej modlitwy, wszyscy obecni, zebrani wokół ogniska, przy którym stał sędziwy Indianin, chwycili się za ręce. Nastąpiła kompletna cisza. Byli tam ludzie z różnych krajów, w tym z Polski, Niemiec i Związku Radzieckiego. Wszyscy zjednoczeni w kręgu...

Po zakończeniu Konferencji zostałem odprowadzony na dworzec w Monachium przez niemieckich przyjaciół, którzy na drogę obdarowali mnie takimi specjałami, jak banany, pomarańcze, itp. Wracając do kraju nie tylko z nowymi informacjami, ze wspólnymi wspomnieniami, ale i z mocnym postanowieniem pogłębiania znajomości języka angielskiego. Może za rok znów się przyda?

Na zakończenie chciałbym serdecznie podziękować niemieckim i polskim przyjaciołom za umożliwienie mi uczestnictwa w Konferencji.

*Wiesław Kołeczek*

### List PSPI do Wesaw Bedeaux, doradcy indiańskich więźniów z Kalifornii:

Drogi Przyjacielu,

My, członkowie PSPI jesteśmy głęboko zainteresowani dawnym i współczesnym życiem tubylczych Amerykanów. Wiemy, że z powodu rozmaitych problemów politycznych, społecznych i osobistych niektórzy Indianie muszą przebywać za kratami. Wiemy też, że mimo to wielu z nich pragnie praktykować swoje tubylcze religie, przechowywać święte przedmioty, uczestniczyć w dawnych ceremoniach religijnych i spotykać się ze swoimi Duchowymi Doradcami.

Wiele razy słyszeliśmy o walce tubylczych więźniów o wolność religijną w instytucjach "resocjalizacyjnych" USA i Kanady. Staraliśmy się im pomóc, przysyłając słowa nadziei, listy z poparciem i osobistą korespondencją. Informowaliśmy także Polaków o walce takich indiańskich więźniów, jak Leonard Peltier, Dino i Gary Butlerowie i wielu innych, podkreślając rolę ich Duchowych Doradców.

Ostatnio Angela Warsitz, nasza przyjaciółka i wieloletnia stronniczką tubylczych Amerykanów z Berlina, powiadomiła nas, że nie zezwala Ci się na występowanie jako Duchowy Doradca. Uważamy to nie tylko za osobistą niesprawiedliwość w stosunku do Ciebie, ale także za potencjalne zagrożenie dla tych wszystkich indiańskich więźniów, którzy poszukują swoich tradycyjnych dróg oraz dla ich Duchowych Doradców.

Uznajemy, że wyznawcy wszystkich tradycyjnych religii indiańskich powinni być traktowani na równi z ludźmi innych wyznań. Powołujemy się na to, że wolność religijna to nie tylko podstawowe prawo człowieka, ale też istotny element procesu resocjalizacji więźniów. Patrząc na kontakty indiańskich więźniów z ich Duchowymi Doradcami z tego punktu widzenia nie jesteśmy w stanie zrozumieć, dlaczego kontakty te uważane mogą być za niebezpieczne lub nielegalne, zakazywane przez władze więzienne. Dlatego też nie możemy milczeć w obliczu tej niesprawiedliwości i przesyłamy nasze słowa poparcia Tobie oraz Twoim Braciom i Siostram.

Ponadto, w porozumieniu z Angielą, pragniemy przekazać Ci 300 dolarów, które mogą pomóc w Twojej sądowej walce. Pieniądze te otrzymali i nie wykorzystali uczestnicy Świętego Biegu na Rzec Ziemi i Życia - Europa - 1990, którzy biegli przez Polskę tego lata w drodze z Londynu do Moskwy. Uznaliśmy, że pomimo naszych własnych potrzeb finansowych i materialnych (chcemy np. kupić nasz pierwszy komputer dla Stowarzyszenia i pisma TAWACIN) pieniądze te nie powinny być użyte na cele inne, niż związane bezpośrednio z celami tubylczych Amerykanów. Dlatego poprosiliśmy Angielę o przekazanie ich Tobie.

Bylibyśmy bardzo wdzięczni za informacje o rezultatach Twojej walki. Chcielibyśmy także wiedzieć jak najwięcej o Twojej pracy z tubylczymi więźniami i o wszystkich ważnych wydarzeniach w Kraju Indian.

W Pokoju i Jedności,

Przewodniczący ZG PSPI - M. Nowociński

Koordinator Świętego Biegu - R. Bala



## POWWOW HIGHWAY - TEN FILM WARTO ZOBACZYĆ

Znawcy kina, badacze Indian i sami tubylczy Amerykanie rzadko kiedy uznają jednomyślnie jakiś film za godny uwagi ze względu na jego wartości artystyczne, zgodność z realiami oraz zbieżność wyobrażeń twórców z samooceną krewnych lub potomków bohaterów. O ile zdarza się to czasem w przypadku filmów mówiących o historii, o tyle zadowalające większość widzów i recenzentów filmy o Indianach współczesnych należą do rzadkich wyjątków.

Za wyjątek taki niewątpliwie uznać należy "Powwow Highway" - najnowszy film Jonathana Wacksa ("Repo Man"), uhonorowany w listopadzie 1988 r. nagrodami dla najlepszego filmu, reżysera i aktora (Gary Farmer) na 13 Festiwalu Filmowym Amerykańskich Indian w San Francisco.

Główni bohaterowie tego, opartego na powieści Davida Seals, obrazu to dwaj Indianie z rezerwatu Północnych Szejenów w Montanie - działacz AIM Buddy Red Bow (A. Martinez) i tradycjonalista Philbert Bono (G. Farmer). Wyruszają oni do Nowego Meksyku, by pomóc siostrze Buddy'ego, uwieszonej przez policję w celu odciążenia brata od działalności w obronie ziemi i jej bogactw w rezerwacie Szejenów.

Jedną z rzadko spotykanych zalet tego filmu jest jego autentyczność. Obaj główni aktorzy są Indianami (choć nie Szejenami - A. Martinez to po części Blackfoot, zaś G. Farmer to kanadyjski Mohawk). Autentyczne jest tło polityczne filmu (walka Ruchu Indian Amerykańskich z konserwatywnymi górnictwami), realistyczne - duchowe poszukiwania i rozterki żyjących na pograniczu dwóch kultur bohaterów.

Ale tym, co czyni film najbardziej "indiański", jest obecny w nim specyficznie indiański humor. Wprowadzenie tego właśnie elementu zasugerował techniczny konsultant reżysera, dyrektor słynnego Teatru Tańca Amerykańskich Indian, Hanay Geiogamah. Humor stał się dodatkowym atutem filmu, czynnikiem równoważącym w sytuacjach napięcia i konfliktów, elementem podkreślającym realizm dialogów i sytuacji.

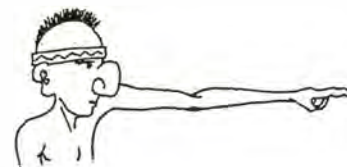
Humor był zawsze ważnym składnikiem indiańskich kultur. "Indianie notorycznie żartują z siebie i to stwarza sytuacje humorystyczne. Ale jest to coś, co bardzo trudno przełożyć na papier" - powiedział w jednym z wywiadów znany pisarz indiański James Welch ("Winter in Blood"). Zaś Vine Deloria, Jr. w rozdziale swego bestselleru "Custer Died For Your Sins" zatytułowanym "Indiański humor" napisał: "Jednym z najlepszych sposobów zrozumienia innych ludzi jest poznanie, z czego się śmieją. Śmiech przekracza granice duszy. W dowcipie życie podlega przekształcaniu i akceptacji. Ironia i satyra zapewniają głębsze wejrzenie w psychikę i wartości zbiorowości, niż lata badań. To właśnie humor jest cementem, który spaja nowy ruch Indian. Jeśli ludzie mogą śmiać się z siebie i innych, jeśli potrafią łączyć różne aspekty życia bez uciekania się do skrajności, to wydaje mi się, że potrafią przetrwać."

"Powwow Highway" nie jest bynajmniej taną komedią "o Indianach". Właściwe dla Indian poczucie humoru nie zawsze bywa czytelne, nawet dla stykających się z nimi na codzień amerykańskich widzów. Śmiech jest sposobem na przetrwanie, ale z ekranu padają też i gorzkie słowa - choćby: "Nawet Ziemia stała się towarem". Humor bywa lekarstwem na gwałt i poniżenie, ale nie wszystkie problemy znajdują swe ostateczne rozwiązanie. Tak w filmie, jak i w życiu.

Społeczność tubylczych Amerykanów zaakceptowała "Powwow Highway" bardziej, niż którykolwiek z komercyjnych produktów Hollywoodu. Czy także dla nas będzie on kolejnym, po filmach o Billy Jacku i "War Party" klasykiem współczesnego westernu? Ponoć film na kasetach video dotarł już do Polski. Kiedy go zobaczymy?

Opracował =MN=

POWWOW HIGHWAY: reżyseria - Jonathan Wacks, scenariusz - Janet i Jean Stawarz, zdjęcia - Toyomichi Kurita, muzyka - Barry Goldberg, USA 1988



## OGŁOSZENIA

=====+  
= OSOBY CHĘTNE DO POMOCY W KOLPORTAŻU TAWACINU PROSIMY O KONTAKT. =  
= ZAPEWNIAMY: PIERWSZENSTWO W OTRZYMYWANIU NOWYCH NUMERÓW PISMA, =  
= MOŻLIWOŚĆ SPRZEDAŻY KOMISOWEJ I PROWIZJE ZA ZAMOWIENIA HURTOWE. =  
=====+

... KRĄG PRZYJACIOŁ "TAWACINU" ...

SAMOTNI PRZYJACIELE INDIAN! - NAPISZCIE DO NAS KROTKO O SOBIE I SWOICH ZAINTERESOWANIACH - MOŻE NA NASZYCH ŁAMACH ODNAJDZIECIE BRATNIĄ DUSZĘ!

1. My name is Charles Jones. I am 15 years old Seneca Indian. My hobby: sports, cars, nature, music, coins, picture postcards. I'm a boy-scout. I want to correspond with a pen-pal 14-20 years old. Please, write to: CHARLES JONES, St. 26 & Pike St., Box Y 6853, Huntingdon, PA 16652.USA

### "NA TROPIE KANADYJSKICH INDIAN"

Dwa najlepsze - jak dotąd - rozwiązania krzyżówki z TAWACINU nr 13 przekazali nam: Marek Cichomski z Kalisza i Roman Bala z Iwanowic. Obaj odszukali ukryte nazwy 41 tubylczych plemion i grup z Kanady, w tym po 36 takich samych i po 5 - różnych. Wszystkie nazwy podane przez Romka były prawidłowe i dotyczyły Kanady, z kolei na liście Marka znalazły się ponadto plemiona z innych obszarów Ameryki (nie przewidziane przez autora). Oba czytelnikom gratulujemy ich wiedzy i cierpliwości. Czekamy na kolejne rozwiązania i propozycje zabaw.

Proszę o zwrot moich zdjęć ze Złotu w Białymstoku i ze Świętego Biegu. Mój aktualny adres: Roman Bala, Iwanowice Duże 95, 42-152 OPATÓW  
\*\*\*\*\*

